

Platon , Fedon

OSOBY DIALOGU:

W SCENIE RELACJI:

ECHEKRATES
PEDON

W WIEZIENIU:

SOKRATES
KEBES
SIMIASZ
KRITON
FEDON
CZYJŚ GŁOS
PACHOLEK KOLEGIUM JEDENASTU

FEDON

ECHEKRATES. Tyś sam był, Fedonie, u Sokratesa w tym dniu, kiedy truciznę wypił w więzieniu, czy od kogoś innego słyszałeś?

FEDON. Sam, Echekratesie.

ECHEKRATES. Co też ten człowiek mówił przed śmiercią? I jak skończył? Chętnie bym o tym posłuchał. Bo teraz to ani z obywateli Fliuntu nikt do Aten nie jeździ, ani już od długiego czasu stamtąd żaden gość nie przyjeżdża, który by nam umiał podać o tym jakieś dokładniejsze szczegóły - oczywiście prócz tego, że wypił truciznę i umarł; ale zresztą to nikt nic nie umie podać.

FEDON. Więc i procesie niceście nie słyszeli, jak się to odbyło?

ECHEKRATES. Owszem, to nam ktoś opowiadał. I dziwiliśmy się, że wyrok zapadł tak dawno, a on umarł, zdaje się, o wiele później. Więc cóż to było, Fedonie?

FEDON. Taki los mu jakoś padł, Echekratesie. Właśnie w wilię wyroku uwięczono ster okrętu, który Ateny wyprawiają na Delos.

ECHEKRATES. A to co za okręt?

FEDON. To jest ten okręt, jak powiadają Ateńczycy, w którym swojego czasu Tezeusz tych czternaścioro wywiózł na Krete, uratował ich i sam wyszedł cało. Więc Apollonowi ślub złożyli wtedy, jak mówią, że jeśli ci wrócą zdrowi, to co roku będą posyłali procesję na Delos. I taką pielgrzymkę zawsze, jeszcze i teraz, od tego czasu rok w rok bogu wysyłają. Więc kiedy się pielgrzymka rozpocznie, to jest takie prawo u nich, że w tym czasie państwo musi być czyste, wolne od zmazy i z wyroku sądu nie wolno wtedy nikomu życia odbierać, zanim statek do Delos nie przybędzie i tutaj nazad nie wróci. A to nieraz wymaga długiego czasu, kiedy się trafią się wiatry przeciwne podróży. Pielgrzymka zaczyna się z chwilą, kiedy kapłan Apollona uwięczy ster okrętu. To właśnie odbyło się, jak mówię, w wilię wydania wyroku. I stąd ta długa pauza u Sokratesa w więzieniu, ta pomiędzy wyrokiem a śmiercią.

ECHEKRATES. A jakież szczegóły samej śmierci, Fedonie? Co mówił, co robił, kto był przy nim spośród bliskich tego człowieka? Albo może władze nie dopuściły nikogo i umarł sam jeden, nie mając bliskiej duszy przy sobie?

FEDON. O nie; było kilku, nawet wielu.

ECHEKRATES. Otóż to wszystko bądź łaskaw nam opowiedzieć, możliwie najdokładniej, chyba że może właśnie nie masz czasu.

FEDON. Ależ mam czas i spróbuję wam to opowiedzieć. Przecież wspominać Sokratesa, czy to samemu mówiąc, czy drugiego słuchając, to, dla mnie przynajmniej, zawsze rzecz najmilsza ze wszystkich.

ECHEKRATES. Tak jest, Fedonie; i takich samych będziesz miał słuchaczy. Więc spróbuj opowiedzieć wszystko; tak dokładnie, jak tylko potrafisz.

FEDON. Doprawdy, mnie przynajmniej dziwnie było przy tym wszystkim. Bo nie brała mnie litość, jako żem był obecny przy śmierci człowieka bliskiego. Ten człowiek, Echekratesie, wydał mi się szczęśliwy i z zachowania się, i z tego, co mówił; on skończył tak bez obawy żadnej, tak po męsku, że mnie przynajmniej on w oczach stał, jak do samych nawet bram Hadesu idzie nie bez boskiego zrządzenia; ale on i tam nawet przyjdzie i dobrze się będzie czuł, jeżeli w ogóle kiedy ktokolwiek. Więc też dlatego nie bardzo mnie litość rozbierała, jak by się to naturalne wydawało wobec takiego nieszczęścia, ani znowu przyjemność, jako żeśmy się filozofią bawili, jak to my zwykle. Mówiło się takie rzeczy, a mnie po prostu dziwnie było, jakaś niezwykła mieszanina przyjemności i przykrości zarazem, kiedym pomyślał, że on za chwilę miał umrzeć. I wszystkim nam, obecnym tam, jakoś tak było: raz się człowiek śmiał, a raz płakał, a jeden z nas osobliwie: Apollodoros. Znasz go może i wiesz, jaki jest.

ECHEKRATES. Jeszcze jak.

FEDON. Otóż jemu wciąż tak było i ja sam byłem roztrzęsiony, i inni też.

ECHEKRATES. A tam właśnie kto był przy tym, Fedonie?

FEDON. No ten, Apollodoros, z miejscowych ludzi był przy tym, i Kritobulos, [i jego ojciec, dalej Hermogenes i Epigenes, i Ajschines,] i Antystenes. Był i Ktezippos z Pajanii, i Meneksenos, i kilku innych miejscowych. A Platon był, zdaje mi się, chory.

ECHEKRATES. A z obcych był kto?

FEDON. Tak; Simiasz przecież z Teb i Kebes, i Fedonides, a z Megary Euklides i Terpsion.

ECHEKRATES. A cóż, Arystyp i Kleombrotos przyszli?

FEDON. O nie; mówiono, że byli w Eginie.

ECHEKRATES. A z innych kto był?

FEDON. Zdaje mi się, że bodaj tylko ci byli obecni.

ECHEKRATES. Więc cóż? O czym się mówiło, powiadasz?

FEDON. Ja ci od początku wszystko spróbuję opowiedzieć. Bo myśmy stale i w poprzednich dniach zwykli byli chodzić do Sokratesa, i ja, i inni; zbieraliśmy się rano w gmachu sądowym, tam gdzie się i proces odbywał. To było blisko więzienia. Więc czekaliśmy zawsze, aż więzienie otworzą, i zabawialiśmy się rozmową. Bo otwierano niezbyt wcześnie. Zaraz po otwarciu wchodziliśmy do Sokratesa i nieraz, bywało, spędzaliśmy z nim cały dzień. Więc tak i wtedy zebraliśmy się nieco wcześniej. Bo poprzedniego dnia, kiedyśmy wieczorem wyszli z więzienia, dowiedzieliśmy się, że statek z Delos powrócił. Więcśmy się umówili, że przyjdziemy jak najwcześniej na zwykłe nasze miejsce. Otóż przychodzimy, a odzwierny wychodzi, jak zwykle nam otwierał, i powiada, żebyśmy poczekali i nie wchodzili prędzej, aż nas sam zawoła. Bo zdejmuje, powiada, Rada Jedenastu kajdany ze Sokratesa i oświadcza mu, że tego dnia ma umrzeć. Otóż zabawił niedługo, przyszedł i poprosił nas do środka. Weszliśmy więc i zastali Sokratesa już bez kajdan, a Ksantypa, ty ją znasz, miała dziecko jego na ręku i siedziała przy nim. Kiedy nas zobaczyła Ksantypa, zaczęła głośno lamentować i tak jakoś mówiła, jak to zwykle kobiety, że oto, Sokratesie, dzisiaj już ostatni raz będą do ciebie mówili znajomi i ty do nich. Sokrates spojrzął na Kritona i powiada: Kritonie, niech ją kto odprowadzi do domu. Więc ją kilku odprowadziło ze służby Kritona, a ona płakała głośno i biła się w piersi.

A Sokrates usiadł na łóżku, założył nogę na nogę i zaczął ją ręką rozcierać. A rozcierając, jaka to dziwna rzecz, powiada, to, co ludzie nazywają przyjemnością.

Jaki dziwny jest jej stosunek do tego, co się wydaje jej przeciwieństwem, do przykrości. Obie razem nie chcą człowiekowi przysługiwać, ale jeśli ktoś za jedną z nich goni i dosięgnie, bodajże zawsze musi i

drugą chwycić, jakby zrosnięte były wierzchołkami, choć są dwie. I mam wrażenie, powiada, że gdyby był to zauważył Ezop, byłby bajkę ułożył, że bóg chciał je pogodzić, bo są w wojnie z sobą, a że nie mógł, więc im tylko wierzchołki powiązał i dlatego to, kto jedną z nich posiadzie, zaraz mu potem i druga przychodzi. Tak zdaje się i u mnie - naprzód miałem w nodze przykróść od kajdan, a teraz, zdaje się, wchodzi mi tam za nią przyjemność. Tu Kebes podchwycił i: Na Zeusa, powiada, Sokratesie, dobrześ zrobił, żeś mi przypomniał; bo o te twoje poezje, o wierszowane przeróbki bajek Ezopa, o hymn do Apollona już mnie kilka osób pytało, a także i Euenos niedawno, co ci się to stało, że kiedyś tu przyszedł, zacząłeś pisać te rzeczy, a przedtem niczegoś nigdy nie pisał. Więc jeżeli ci coś zależy na tym, żebym ja miał co odpowiedzieć Euenosowi, kiedy mnie drugi raz o to zapyta, a ja dobrze wiem, że on mnie zapyta drugi raz, to powiedz, co mu mam odpowiedzieć? Powiedz mu prawdę, Kebesie - powiada - że wcale nie miałem zamiaru współzawodniczyć z nim ani z jego poezjami, kiedyś to pisał. Wiedziałem, że to niełatwa rzecz. Tylkom się z pewnymi widzeniami sennymi liczył i próbował, co znaczą; abym święty obowiązek spełnił, jeśli mi sen często tę właśnie służbę Muzom zalecał. A to był taki sen mniej więcej. Nieraz mnie nawiedzał w minionym życiu i raz mi się w takiej, raz w innej zjawiał postaci. Ale zawsze te same słowa wracały: Sokratesie, powiada, muzykę rób i uprawiaj. Ja myślałem przedtem, że szło o to, com uprawiał, że do tego samego mnie sen namawia i zachęca; jak to ludzie głośno nieraz popędzają tych, którzy biegną, tak i mnie sen zachęcał do tego, com już robił, do muzyki - bo filozofia to największa służba Muzom, a ja ją uprawiałem. Ale teraz, kiedy się proces odbył, a uroczysty obchód na cześć boga nie dał mi umrzeć, wydało się rzeczą właściwą nie odmawiać posłuszeństwa snom, gdyby mi często nakazywały uprawiać i tę muzykę pospolitą, tylko ją robić. Bo bezpieczniej nie odchodzić, zanim się człowiek od świętego obowiązku nie uwolni, robiąc wiersze według rozkazu otrzymanego we śnie. I tak, naprzód, napisałem wiersz na cześć boga, któremu właśnie wypadła ofiara.

A po bogu, zważywszy, że poeta, jeżeli ma być poetą, powinien przypowieści pisać, a nie myśli, choćby i sam nie był bajarzem, więc dlatego, mając pod ręką i umiając na pamięć bajki Ezopa, ułożyłem je wierszami; pierwsze z brzegu.

Więc to, Kebesie, powiedz Euenosowi i aby zdrów był, a jeśli by miał rozum, to niech za mną pójdzie jak najprędzej. Ja odchodzę, zdaje się, dziś. Tak każą Ateny. A Simiasz powiada: - Co też ty, Sokratesie, doradzasz Euenosowi? Ja nieraz spotykałem tego człowieka, ale, o ile ja mogę sądzić, on twojej rady nie posłucha dobrowolnie, ani trochę.

- Cóż to - powiada - a czy to nic filozof, Euenos?

- Zdaje mi się - powiada Simiasz.

- A, to zechce - powiada - i Euenos, i każdy, kto filozofię poważnie traktuje. Oczywiście, nie zada gwałtu sam sobie. Powiadają przecież, że to się nie godzi. To mówiąc spuścił nogi z łóżka na ziemię i tak już, siedzący, dalej rozmawiał. Otóż Kebes zapytał go: - Jak ty to rozumiesz, Sokratesie, gdy mówisz, że nie godzi się gwałtu zadawać samemu sobie, a jednak filozof zechce pójść za tym, który umiera?

- No cóż, Kebesie? A czyż nie słyszeliście, ty i Simiasz, o rzeczach podobnych, kiedyście obcowali z Filolaosem?

- W każdym razie nic wyraźnego.

- O tak, ja także tylko ze słuchu o tym opowiadam; ale com właśnie słyszał, nie żał mi tego i powiedzieć. Toż może i najwięcej wypada takiemu, który się tam w drogę wybiera, rozpatrzeć się i pogadać o tej podróży na tamtą stronę, jak też ją sobie człowiek wyobraża. Bo i cóż innego w końcu można robić w tym czasie aż do zachodu słońca?

- Więc dlaczegoż to, tak powiadają, nie godzi się odbierać sobie samemu życia, Sokratesie? Bo ja to już, jak właśnie teraz mnie o to pytałeś, i od Filolaosa słyszałem, kiedy u nas mieszkał, i od niejednego innego, że nie należy tego robić. Ale jasnego czegoś o tej sprawie nigdy od nikogo nie słyszałem.

- Nie trzeba tracić otuchy - powiada - może jeszcze usłyszysz. Tobie się to z pewnością dziwne wyda, że to jedno zdanie spośród wszystkich innych jest bezwzględnie prawdziwe, a nie tak jak i w innych sprawach, tylko bywa tak człowiekowi, że nieraz i niejednemu lepiej jest umrzeć niż żyć. A jeśli niejednemu lepiej umrzeć, to pewnie dziwne ci się wydaje, dlaczego takiemu człowiekowi nie godzi się robić dobrze samemu sobie, tylko mu trzeba czekać na innego dobroczyńcę?

A Kebes uśmiechnął się blade i: "Zeus że to raczy wiedzieć", powiada w swoim dialekcie.

- Mogłoby się wydawać - mówi Sokrates - że tak to nie ma sensu; a jednak może w tym jest jakiś sens; toż nauka tajemna mówi o tej sprawie, że my, ludzie, jesteśmy niejako w więzieniu i nie wolno z niego siebie samego wyzwalać ani uciekać; ja w tym widzę pewną myśl: wielką i niełatwą do przejrzenia na wskroś. No nie, serio, Kebesie, to mi się wydaje dobrą myślą, to, że bogowie nas utrzymują, a my, ludzie, jesteśmy jedną z prywatnych własności bogów. Czy tobie może nie wydaje się tak?

- Mnie tak - powiada Kebes.

- Nieprawdaż - powiada tamten - i ty sam, gdyby któraś z twoich prywatnych własności chciała sobie sama życie odbierać, mimo że ty byś nie dał znaku, że chcesz, aby umarła, gniewałbyś się na nią i gdybyś miał jakąś karę do wymierzenia, wymierzyłbyś ją?

- Tak jest - powiada.

- Więc może tak samo nie jest i to bez sensu, że nie wolno siebie samego zabijać prędzej, zanim bóg nie ześle jakiejś konieczności, jak na przykład ta, którą ja mam teraz.

- A może być - powiada Kebes - to tak wygląda. Ale to, coś teraz w tej chwili mówił: że filozofowie powinni łatwo i chętnie umierać,

to, Sokratesie, wygląda na nedorzecznosc, jeżeli to, cośmy w tej chwili mówili, jest w porządku, to, że bóg nas utrzymuje, a my jesteśmy jego rzeczami. Bo żeby się nie wzdrygali najrozumniejsi spośród nas odchodzić z tego utrzymania, w którym mają nad sobą panów najlepszych, jacy są: bogów, to nie ma sensu. Przecież taki człowiek nie sądzi chyba, że sam o siebie będzie lepiej dbał, kiedy się wyzwoli. Tylko nierozumny człowiek mógłby coś takiego pomyśleć, że oto lepiej uciec od pana, i nie umiałby sobie wyrachować, że od dobrego przecież uciekać nie należy, tylko przy nim zostawać jak najdłużej. Toteż ucieczka byłaby głupstwem. A kto ma rozum, ten by chciał zawsze być u kogoś lepszego niż on sam. I tak, Sokratesie, coś innego wydaje się słusznym niż to, co się właśnie teraz mówiło; wypada, że ludzie rozsądni powinni się wzdrygać przed śmiercią, a głupi się na nią cieszyć.

Kiedy to usłyszał Sokrates, miałem wrażenie, że go zabawiły te wywody Kebesa. Spojrzał na nas i: Zawsze ci ten Kebes - powiada - jakieś dowody wymyśla i niełatwo chce wierzyć temu, co mu kto powie.

A Simiasz: Ależ owszem - powiada - Sokratesie, teraz jednak i ja sam mam wrażenie, że Kebes mówi do rzeczy. Bo niby w jakim celu właściwie mieliby ludzie naprawdę mądrzy uciekać od panów lepszych niż oni sami i tak łatwo się z nimi rozstawać? I ja mam wrażenie, że Kebes swoje wywody kieruje w twoją stronę: że tak łatwo ci przychodzi i nas opuścić, i tych władców dobrych, jak sam powiadasz: bogów.

- Słusznie - powiada - mówicie. Mówicie, zdaje się, że powinien na te zarzuty odpowiadać jak na sali sądowej.

- Naturalnie, że tak - rzekł Simiasz.

- Ano - powiada - spróbuję się bronić wobec was bardziej przekonująco niż wobec sędziów. Otóż ja - powiada - Simiaszu i Kebesie, gdybym nie był wierzył, że pójdę naprzód do bogów innych, mądrych i dobrych, a potem i do ludzi umarłych, lepszych niż ci tutaj, byłbym istotnie źle zrobił, nie wzdrygając się przed śmiercią. Ale dziś bądźcie pewni, że ja się spodziewam pójść pomiędzy ludzi dobrych; choć, ostatecznie, niezbyt gwałtownie będę się o to spierał; ale że do bogów pójdę, do władców bardzo dobrych, to bądźcie przekonani, że jeślibym się przy czymkolwiek w tej materii upierał, upierałbym się i przy tym. Więc dlatego nie wzdrygam się i tak tylko mam dobrą nadzieję, że jednak jakoś tam jest tym, co pomarli, i jak to z dawną mową, znacznie lepiej dobrym niż złym.

- No tak, Sokratesie - powiada Simiasz. - Ty tak sam jeden tylko z tym przekonaniem w duszy zamierzasz odejść, czy może byś się nim i z nami podzielił? Bo to przecież, wedle mnie przynajmniej, wspólne dobro i dla nas, to przekonanie. To równocześnie będzie i twoja obrona, jeśli nas potrafisz przekonać tym, co powiesz.

- A, to spróbuję - powiada. - Ale naprzód, o, posłuchajmy Kritona, co to jest, co on mi chce, już od chwili uważam, powiedzieć.

- No cóż, Sokratesie - powiada Kriton - nic, tylko to, co mi tu wciąż powtarza ten, co ci ma podać truciznę: że trzeba ci zwrócić uwagę, abyś jak najmniej rozmawiał. Powiada, że człowiek się za nadto rozgrzewa w rozmowie, a takich rzeczy nie wolno robić przed trucizną. Bo jak nie, to nieraz musi i dwa, i trzy razy pić ktoś, kto się tego nie pilnował. A Sokrates: Poślij go łagodnie do kata - powiada. - Niech tylko to przygotowuje, co do niego należy; może będzie i dwa razy podawał, a jak wypadnie, to i trzy.

- Prawie żem to z góry wiedział - powiada Kriton - tylko on mi tu wciąż spokoju nie daje.

- Nie dbaj o niego - powiada. - Ja się przed wami przecież, przed sędziami muszę już usprawiedliwić, że słuszność mam, kiedy myślę, że człowiek, który naprawdę życie spędził na filozofii, będzie dobrej myśli przed śmiercią i będzie się tam największego dobra spodziewał po śmierci.

A jakim sposobem tak być może, spróbuję wam, Simiaszu i Kebesie, wykazać. Zdaje się, że ci, którzy się z filozofią zetknęli, jak należy, niczym innym się nie zajmują jak tylko tym, żeby umrzeć i nie żyć, a ludzie bodajże tego nie wiedzą. Otóż jeżeli to prawda, to głupio byłoby przez całe życie niczego innego nie szukać, tylko tego właśnie, a kiedy ono przyjdzie, wdrygać się przed tym, czego człowiek z dawna pragnął i starał się o to. Tu Simiasz się uśmiechnął i: Na Zeusa - powiada - Sokratesie, nie bardzo mi dzisiaj do śmiechu, a jednak tyś mnie do śmiechu zmusił. Przecież i z szerokich kół niejeden, gdyby to usłyszał, uważałby, sądzę, że to bardzo dobre powiedzenie na tych, którzy się filozofią bawią, i zgodziliby się z nim ludzie u nas, że owszem, istotnie ci, którzy się filozofii oddają, pragną śmierci i ludzie też to doskonale wiedzą, że im się taki los należy.

- To prawdę by powiedzieli, Simiaszu, prócz tego, że ludzie to doskonale wiedzą. Bo oni nie wiedzą, jak to właściwie pragnie śmierci i jak godzien jest śmierci, i jakiej śmierci filozof prawdziwy.

Ale rozmawiajmy - powiada - sami z sobą, a o tamtych mniejsza. Naszym zdaniem śmierć jest czymś?

- Oczywiście - rzecze podchwytną Simiasz.

- Może to nic innego jak uwolnienie się duszy od ciała? Umieranie to jest to, że ciało uwolnione od duszy staje się, z osobna, ciałem samym w sobie, a z osobna znowu dusza wyzwolona z ciała sama istnieje dla siebie. Może śmierć to nic innego jak to właśnie?

- Właśnie to - powiada.

- Zastanówże się, mój kochany, czy może i ty nie będziesz tego zdania co ja. Bo stąd będziemy lepiej widzieli to, co rozpatrujemy. Czy sądzisz, że jest rzeczą filozofa dbać o tak zwane przyjemności; takie jak pokarmy i napoje?

- Wcale nie, Sokratesie - powiada Simiasz.

- No cóż, a o służbę Afrodyty?

- Nic podobnego.

- A inne dogadzanie ciału, myślisz, że za godną rzecz uważa taki człowiek? Jak na przykład nabywanie sukien osobliwych i bucików, i innych ozdób ciała; czy myślisz, że on to ceni, czy też ma to za nic, poza tym, że zupełnie się obejść bez tych rzeczy niepodobna?

- Myślę - powiada - że ma to za nic; taki, przynajmniej, prawdziwy filozof.

- Nieprawdaż; czy nie uważasz w ogóle, że całe staranie takiego człowieka nie odnosi się do ciała; ono się, ile możliwości, od ciała odwraca, a skierowane jest do duszy?

- Uważam.

- Czy więc najpierw w tych rzeczach nie widać tego, że filozof odwiązuje, jak tylko może, duszę od wspólności z ciałem; więcej niżli wszyscy inni ludzie?

- Widać.

- Otóż szerokie koła uważają, Simiaszu, że człowiek, któremu nic z tych rzeczy nie sprawia przyjemności i on w nich nie bierze udziału, niewart jest żyć i że się niejako śmierć patrzy takiemu, który wcale nie dba o przyjemności, które przez ciało przychodzą.

- Mówisz zupełnie słusznie.

- Tak, a jakże to jest z nabywaniem rozumu? Czy ciało jest na tej drodze przeszkodą, czy nie, jeśli ktoś, z nim związany, weźmie je z sobą na poszukiwania? Ja myślę na przykład coś w tym rodzaju: czy daje jakąś prawdę wzrok i słuch ludziom, czy też o tym to i poeci nam bez ustanku trąbią, że ani nie słyszymy niczego dokładnie, ani nie widzimy. A toż ci, jeżeli nawet te zmysły spośród zmysłów cielesnych nie pokazują dokładnie i jasno, to cóż dopiero inne? Toż chyba wszystkie inne są gorsze od tych. Nie myślisz tak może?

- Owszem - powiada.

- Więc kiedyż - mówi tamten - dusza dotyka prawdy? Bo jeśli próbuje oglądać coś z pomocą ciała, widać, że ono ją wtedy w błąd wprowadza.

- Prawdę mówisz.

- Więc czyż nie w rozumowaniu, jeżeli w ogóle gdziekolwiek, objawia się jej coś z tego, co istnieje?

- Tak.

- A ona bodajże wtedy najpiękniej rozumuje, kiedy jej nic z tych rzeczy oczu nie zasłania: ani słuch, ani wzrok, ani ból, ani rozkosz, kiedy się, ile możliwości, sama w sobie skupi, nie dbając wcale o ciało, kiedy, ile możliwości, wszelką wspólność, wszelki kontakt z ciałem zerwie, a sama ręce do bytu wyciągnie.

- Jest tak.

- Nieprawdaż, i stąd dusza filozofa najwięcej gardzi ciałem i ucieka od niego; chce być sama z sobą.

- Widocznie.

- A jakże znowu w takich rzeczach, Simiaszu? Powiemy, że jest czymś sprawiedliwość sama, czy niczym?

- Powiemy przecież, na Zeusa.

- I piękno czymś, i dobro?

- Jakżeby nie.

- A jużes kiedy którą z tych rzeczy oczyma oglądał?

- Nigdy - powiada.

- Tylkoś jakimś zmysłem innym od zmysłów ciała dotknął tych rzeczy? Ja mówię o wszystkich takich, jak o wielkości, zdrowiu, sile i innych; jednym słowem, o wszystkim, co tylko istnieje rzeczywiście, a czym każda rzecz jest. Czyż to z pomocą ciała oglądamy co najprawdziwsze z tych rzeczy, czy też tak się rzecz ma, że kto z nas najbardziej i najdokładniej przygotowuje się do tego, żeby myśl obrócić na samo to właśnie, co rozpatruje, ten będzie może najbliższy poznania w każdym wypadku?

- Oczywiście.

- Otóż czy nie najczyściej tego dokonać potrafi ten, kto samym tylko rozumem, samą myślą tylko podchodzić będzie do każdej rzeczy, ani się wzrokiem nie posługując przy myśleniu, ani żadnych innych wrażeń zmysłowych za rozumowaniem nie wlokąc, tylko się niepokalanym rozumem samym w sobie będzie posługiwał goniąc za tym, co niepokalane w każdym wypadku istnieje samo w sobie; wyzwoli się jak najbardziej od oczu i uszu i, powiem nawet, od całego ciała; bo ono mąci widok i nie pozwala duszy posiadać prawdy i poznania, jak długo się to ciało duszy trzyma?

Czy to nie ten człowiek, Simiaszu, jeśli w ogóle który, czy nie ten potrafi dotknąć tego, co istnieje?

- Nadzwyczajne - powiada Simiasz - jaką ty masz rację, Sokratesie!

- Nieprawdaż - mówi - nie może być inaczej i wobec tego musi się między prawymi filozofami ustalać taka mniej więcej opinia i tak pomiędzy sobą nieraz mówią: Bodajże istnieje taka niby ścieżka, którą nas rozum w rozważaniach wyprowadza, ale jak długo będziemy mieli ciało i dusza nasza będzie złączona z takim wielkim złem, nigdy w świecie nie potrafimy zdobyć i posiadać w pełni tego, czego pragniemy. A powiadamy, że tym jest prawda. Bo tysiączne nam kłopoty sprawia ciało, któremu pokarmu trzeba. A do tego, jeśli na nas jeszcze jakieś choroby spadną, przeszkadzają nam w szukaniu tego, co istnieje. Pragnieniami i żądzami, i obawami, i widziadłami różnorodnymi, i głupstwami nas napełniają licznymi, tak że, jak mówią, naprawdę przez to niczego nigdy na rozum wziąć nie jesteśmy w stanie. Toż i wojny, i rozruchy, i bitwy znikądinąd nie pochodzą, tylko z ciała i z jego żądz. Przecież we wszystkich naszych wojnach chodzi o zdobycie pieniędzy, a pieniądze musimy zdobywać dla ciała; jak niewolnicy dogadzać mu jesteśmy zmuszeni. I dlatego nie mamy kiedy oddawać się filozofii; przez to wszystko. A koniec wszystkiego taki, że jeśli ono komuś z nas da kiedy pokój i człowiek się zwróci do rozważań nad czymś, ono znowu podczas rozważań zaczyna się zgłaszać na wszystkie sposoby, sprawia nam zamieszanie i niepokój, i myśli płoszy, tak że niepodobna przy nim dojrzeć prawdy. Tylko tę mamy wskazówkę, istotnie, że jeśli kto z nas pragnie kiedy poznać coś w sposób czysty, musi się od ciała wyzwolić i samą tylko duszą oglądać rzeczywistość samą. Wtedy dopiero spełni się nam zapewne to, czego pragniemy, osiągniemy to, czego się zowiemy miłośnikami: mądrość. Dopiero jak pomrzemy, wedle tego toku myśli, a za życia nic. Bo jeżeli niepodobna, będąc w ciele, niczego poznać na czysto, to jedno z dwojga: albo nigdy w ogóle wiedzy posiąść nic można, albo dopiero po śmierci. Wtedy dusza będzie sama w sobie oddzielona od ciała, a przedtem nie. A jak długo żyjemy, najwięcej chyba potrafimy się do poznania zbliżyć, jeśli możliwie wcale nie będziemy przestawać z ciałem, nie będziemy mieli z nim nic wspólnego, poza koniecznością ostateczną, nie będziemy pełni jego natury, tylko wolni od jego zmayı, póki nas bóg sam nie wyzwoli. Wtedy czysti, wyzwoleni z nierozumu ciała, będziemy zapewne pośród takich samych jak my i będziemy sami przez siebie poznawali wszystko, co niepokalane. A to chyba jest prawda. Bo temu, co sam nieczysty, nie godzi się żadną miarą tknąć tego, co czyste. Takie rzeczy, Simiaszu, mówić muszą pomiędzy sobą i myśleć wszyscy, którzy wiedzę kochają, jak należy. Nie wydaje ci się tak?

- Ze wszech miar, Sokratesie.

- Nieprawdaż - powiedział Sokrates - jeżeli to prawda, przyjacielu, to wielka jest nadzieja, że przybywszy tam, dokąd ja idę, dopiero znajdzie człowiek pod dostatkiem, jeżeli w ogóle gdziekolwiek, tego, za czym się rozbijał przez całe minione życie; tak że temu wyjazdowi, który mnie dziś nakazany, przyświeca gwiazda dobrej nadziei; podobnie jak każdemu innemu człowiekowi, który ma to przekonanie, że wypracował sobie niejaką czystość duszy.

- Oczywiście - powiedział Simiasz.

- A oczyszczenie czyż nie na tym właśnie polega, o czym teraz wciąż mówimy, żeby najwięcej duszę od ciała oddzielić i przyzwyczaić ją do tego, żeby się sama w sobie ze wszystkich zakątków ciała umiała skupiać i zbierać, i mieszkać, ile możliwości, i dziś, i potem, w odosobnieniu, w samej sobie; wyzwolona z ciała, niby z kajdan?

- Naturalnie, że tak - powiada.

- A czyż to się nie nazywa śmiercią: to rozwiązanie i oddzielenie duszy od ciała?

- Ze wszech miar przecież - powiedział tamten.

- A rozwiązać ją, jak mówimy, pragną zawsze najwięcej i jedynie tylko ci, którzy się filozofią zajmują jak należy, i o to właśnie chodzi filozofom, o wyzwolenie i oddzielenie duszy od ciała. Czy nie?

- Widocznie.

- Nieprawdaż więc, tak jak na początku mówiłem, śmieszne by to było, żeby człowiek, który całe życie pracował nad sobą na to, aby, żyjąc, być jak najbliższej śmierci, miał się potem wzdrygać, kiedy ona sama do niego przyjdzie? Czy to nie zabawne?

- Jakżeby nie?

- A więc istotnie - powiada - Simiaszu, ci, którzy filozofują jak należy, troszczą się i starają o to, żeby umrzeć, i śmierć jest dla nich mniej straszna niż dla wszystkich innych ludzi. Rozważ to stąd. Przecież jeśli są w ustawicznej walce z ciałem, a pragną mieć duszę samą w sobie i nareszcie im się to spełni, to gdyby się bali i wzdrygali, nie byłoby to wielkim głupstwem nie iść chętnie tam, gdzie są widoki na znalezienie tego, czego przez całe życie dostąpić pragnęli? Pragnęli mądrości. A pozbyć się tego, z czym wojnę prowadzili, gdy ono z nimi było wciąż? Czy też: za osobami ukochanymi, za kobietami i synami pomarłymi wielu by chętnie chciało zejść do Hadesu, boby ich ta nadzieja wiodła, że tam zobaczą tych, z którymi obcować pragnęli; a ktoś, kto by istotnie kochał mądrość i też powziął głęboką nadzieję, że jej nigdzie indziej nie dostąpi tak, żeby warto było o tym mówić, jak tylko w Hadesie, ten miałby się wzdrygać przed śmiercią i nie miałby chętnie pójść na tamtą stronę? Ej, trzeba przypuszczać, przyjacielu, że tak; jeśliby tylko naprawdę był filozofem. Bo on będzie głęboko o tym przekonany, że nigdzie indziej nie dostąpi mądrości w stanie czystym, jak tylko i wyłącznie tam. A jeżeli tak, to jak dopiero co powiedziałem, nie byłoby to wielkim głupstwem, gdyby się bał śmierci ktoś taki?

- Wielkim głupstwem, na Zeusa - powiedział tamten.

- Nieprawdaż, zaraz wiesz, co myśleć o człowieku, jeśli zobaczysz, że się któryś wzdryga i niepokoi, kiedy ma umrzeć; zaraz widać, że to z pewnością nie filozof (który mądrość kocha), tylko ktoś, kto kocha ciało; ten sam człowiek z pewnością kocha i pieniądze, i sławę; albo jedno z tych dwojga, albo i jedno, i drugie.

- Zupełnie tak się rzeczy mają - mówi tamten - jak ty powiadasz.

- Simiaszu, a czy i tak zwane męstwo nie jest przede wszystkim udziałem takich właśnie charakterów?

- Oczywiście - powiada.

- Nieprawdaż, i rozsądne panowanie nad sobą, co i szerokie koła nazywają rozsądkiem; to, żeby się nie unosić żądzami, mało dbać o nie i żyć porządnie. Czyż to nie wyłącznie tych zdobi, tych, którzy najmniej dbają o ciało, a w filozofii żyją?

- Naturalnie - powiada.

- A jeśli zechcesz - mówi - zastanowić się nad męstwem i rozsądkiem tych innych, dziwnie ci się te ich zalety przedstawia.

- Jakże to, Sokratesie?

- Wiesz - powiada - że ci inni wszyscy zaliczają śmierć do wielkich nieszczęść?

- I bardzo wielkich - powiada.

- A czy to nie z obawy przed większymi nieszczęściami narażają się ci mężni spośród nich na śmierć, o ile się na nią narażają?

- Jest tak.

- Zatem obawą i strachem mężni są wszyscy, oprócz filozofów. A przecież to dziwna rzecz, żeby ktoś był mężny przez obawę i strach.

- Oczywiście.

- A cóż ci porządni spośród nich? Czyż znowu nie ta sama z nimi sprawa? Pewna rozpusta stanowi ich rozsądne opanowanie? Mówimy przecież, że to niemożliwe. A jednak u nich podobnie rzecz się ma z tym ich naiwnym rozsądkiem. Oni się przecież boją utracić inne przyjemności, których pragną, i dlatego odmawiają sobie jednych, aby służyć drugim. A to nazywa się rozpustą: niewolnikiem być rozkoszy. Mimo to zdarza się im, że folgując przyjemnościom jednym, zapanują nad przyjemnościami innymi. To właśnie wygląda tak, jak się tu przed chwilą mówiło: w pewnym sposobie rozpusta stanowi ich rozsądne opanowanie.

- Zdaje się, że tak.

- Simiaszu kochany! Przecież taka zamiana to stanowczo nie jest prosta droga do dzielności: tak wymieniać przyjemność na przyjemność i przykrość na przykrość, i obawę jedną na drugą, i grube na drobne - jak pieniądze! Istnieje przecież chyba jedna tylko moneta prawdziwa, za którą wszystko to wymieniać należy rozum. I cokolwiek za niego dostaniesz czy kupisz, to tylko jest rzeczywiste: i męstwo, i rozsądek, i sprawiedliwość, i w ogóle prawdziwa dzielność, na rozumie oparta, czy tam przychodzą, czy odchodzą przyjemności i obawy i te tam inne wszelkie tego rodzaju rzeczy: jeśli przy nich nie ma rozumu, tylko się jedną z nich wymienia na drugą, taka dzielność to bodajże będzie tylko marą jakąś i ułudą; doprawdy że niegodną człowieka wolnego; nie będzie w niej ani odrobiny zdrowia, ani prawdy. Prawda zaś to oczyszczenie pewne od wszystkich tego rodzaju rzeczy, a rozsądne panowanie nad sobą i sprawiedliwość, i męstwo, i nawet sam rozum to też bodajże nic innego jak tylko pewne oczyszczenie. I bodajże ci, którzy nam tajemne święcenia przekazali, to nie byli ludzie byle jacy,

ale oni, istotnie, dawno już odgadli, że kto niewtajemniczony i bez święceń do Hadesu przyjdzie, ten będzie leżał w błocie, a kto się oczyści i uświęci, zanim tam przybędzie, ten między bogami zamieszka. Powiadają zaś ci od święceń, że wielu jest takich, którzy różdżki noszą, ale mało kogo bóg nawiedza. Wedle mojego mniemania bóg nawiedza nie innych, tylko tych, którzy ukochali mądrość jak należy. Czegom i ja, wedle możliwości, nie zaniedbywałem w życiu, tyłkom się wszelkimi sposobami starałem stać się takim. A czym się starałem jak należy i czym cel osiągnąłem, to będę jasno wiedział, kiedy się znajdę tam, jeśli bóg pozwoli; niedługo już, jak mi się zdaje.

Taka jest moja obrona, Simiaszu i Kebesie, że słusznie, choć i was opuszczam, i tutejszych władców, nie cierpię i nie wzdrygam się, bo wierzę, że i tam spotkam władców i przyjaciół nie mniej dobrych jak tu. Szeroki tłum w to nie wierzy. Otóż jeśli w tej obronie wobec was byłem bardziej przekonujący niż wobec sędziów, dobrze by to było. Kiedy to powiedział Sokrates, odezwał się Kebes: Sokratesie, wszystko inne, wedle mego zdania przynajmniej, pięknie było powiedziane, ale to o duszy to bardzo niewiarygodnie ludziom brzmi, że gdy się dusza oddzieli od ciała, to jeszcze gdzieś jest, a nie psuje się i nie ginie w tym samym dniu, kiedy człowiek umrze. Toż ona zaraz wychodzi z ciała, wylatuje jak dech lub dym, rozprasza się i rozlatuje się na wszystkie strony, i nie jest już nigdzie niczym więcej. Bo przecież gdyby ona gdziekolwiek była, sama w sobie, skupiona i uwolniona od tych wszystkich nieszczęść, któreś w tej chwili przeszedł, wielka byłaby nadzieja i piękna, Sokratesie, że prawdą jest to, co mówisz. Ale o tym, zdaje się, długo trzeba by przekonywać kogoś, kto by nawet rad wierzył, że istnieje dusza po śmierci człowieka i ma jakąś siłę i rozum.

- Prawdę mówisz, Kebesie - powiada Sokrates. - Ale cóż poczniemy? Czy chcesz, żebyśmy sobie właśnie o tym pogadali, czy raczej może tak jest, czy nie?

- Co do mnie - powiada Kebes - to chętnie bym posłuchał, co też ty sobie o tym myślisz u siebie.

- Zdaje mi się - powiedział Sokrates - że ktoś, kto by mnie teraz słuchał, choćby nawet i komediopisarzem był, nie powie, że plotę smalone duby przez gadatliwość i rozwodzę się na nie swoje tematy. Więc jeżeli i ty tak sądzisz, to trzeba rzecz rozpatrzeć. A będziemy ją rozpatrywali tak mniej więcej: czy w Hadesie są dusze zmarłych ludzi, czy też nie.

No, dawne podanie, które pamiętamy, mówi, że są; te, które stąd tam przyszły i znowu tutaj wracają i powstają z martwych. Otóż jeśli tak jest, jeżeli z umarłych znowu powstają żywi, to nic innego, tylko byłyby tam nasze dusze; bo nie mogłyby powstać znowu, gdyby tam nie były. A dowód na to, że tak jest, mielibyśmy, gdyby się pokazało, że istotnie znikądinąd nie powstają ludzie żywi, jak tylko z umarłych. Ale jeśli tak nic jest, innego by potrzeba dowodu.

- Oczywiście - powiada Kebes.

- Zatem - powiada - rozpatrz to nie tylko u ludzi, jeżeli łatwiej chcesz rzecz poznać, ale i u zwierząt wszystkich, i u roślin, w ogóle u wszystkich istot, które powstają; u wszystkich zobaczymy, czy nie w ten sposób powstaje wszystko; nie inną drogą, tylko przeciwieństwa z przeciwieństw, o ile coś w ogóle ma przeciwieństwo, jak na przykład: piękno jest przeciwieństwem brzydoty, a sprawiedliwość niesprawiedliwości, i innych mnóstwo takich samych wypadków. Więc to rozpatrzmy: jeśli coś posiada pewne przeciwieństwo, to czy to może powstawać skądkolwiekinąd, jak nie ze swego przeciwieństwa? Tak na przykład, kiedy się coś większym staje, to nieuchronnie przecież z czegoś, co było mniejsze przedtem, robi się z czasem to, co większe?

- Tak.

- Nieprawdaż, i jeśli się coś mniejszym staje, to z czegoś, co przedtem było większe, robi się później to, co mniejsze?
- Jest tak - powiada.
- I prawda, że z silniejszego słabsze i z powolniejszego szybsze?
- Oczywiście.
- No cóż, a jeżeli się coś gorszym staje; to czy nie z lepszego? A jeśli sprawiedliwszym, to czy nie z raczej niesprawiedliwego?
- Jakżeby nie?
- To nam wystarczy - powiada - że wszystko w ten sposób powstaje: z przeciwieństw zawsze to, co przeciwne.
- Tak jest.
- No cóż, a bywa i tak w tych rzeczach, żeby pomiędzy dwoma przeciwieństwami - tych zawsze jest para - występowały dwa stany przejścia: z jednego w drugi i znowu z drugiego w pierwszy? Bo na przykład pomiędzy tym, co większe, i tym, co mniejsze, leży wzrost i zmniejszanie się, i my mówimy o jednym, że rośnie, a o drugim, że się zmniejsza?
- Tak - powiada.
- Nieprawdaż, i z wydzielaniem się z roztworu, i z mieszaniem się tak samo, i z oziębianiem się, i z ogrzewaniem, i w ogóle wszędzie tak; a jeśli niekiedy nie używamy odpowiednich wyrazów, to w rzeczywistości jednak wszędzie musi się tak dziać, że przeciwieństwa nawzajem ze siebie powstają i że istnieje powstawanie jednych przeciwieństw z drugich?
- Naturalnie - powiedział tamten. - No cóż - powiada. - A życie czy posiada jakieś przeciwieństwo, tak jak przeciwieństwem czuwania jest spanie?
- Oczywiście - powiada.
- A jakie?
- Stan śmierci - powiada.
- Nieprawdaż, jedno powstaje z drugiego, jeżeli to są przeciwieństwa, i pomiędzy nimi istnieją dwa przejściowe stany powstawania, bo to para przeciwieństw?
- Jakżeby nie?
- Otóż ja ci podam jeden związek spośród tych rzeczy, o których ci dziś mówiłem - powiada Sokrates - i związek, i stany powstawania. A ty mi podaj drugi. Otóż ja podaję: jedno to spanie, a drugie czwanie. Ze spania robi się czwanie, a z czuwania spanie. Te przejściowe stany powstawania pomiędzy nimi to: jeden - zasypianie, a drugi - budzenie się. Wystarczy ci to, czy nie?
- Owszem, zupełnie.
- Otóż powiedz mi i ty także - powiada - tak samo o życiu i o śmierci. Czy nie powiesz, że życie to przeciwieństwo stanu śmierci?
- Powiem.
- A jedno powstaje z drugiego?
- Tak.

- Zatem z tego, co żyje, co powstaje?

- To, co nie żyje - powiada.

- No cóż, a z tego, co już nie żyje?

- Koniecznie - powiada - trzeba się zgodzić, że to, co żyje.

- Więc może z tego, co pomarło, Kebesie, powstaje to, co żyje, i ludzie żywi?

- Widocznie - powiada.

- Więc są - powiada - nasze dusze w Hadesie?

- Chyba są.

- Nieprawdaż, a spośród stanów powstawania, które tu zachodzą, jeden jest przypadkiem zupełnie jasny i znany, bo umieranie to rzecz jasna przecież, czy nie?

- Naturalnie - powiada.

- Więc jak - powiada tamten - zrobimy? Nie dodamyż z drugiej strony przeciwnego stanu powstawania, tylko na tym punkcie natura ma być kulawa? Czy też koniecznie potrzeba postawić naprzeciw umierania inny, przeciwny jakiś stan: powstawania?

- Chyba może tak - powiada.

- A jakież to?

- Zmartwychwstawanie.

- Nieprawdaż - powiedział tamten - jeśli istnieje zmartwychwstawanie, to ono byłoby takim przejściem do żywych, to zmartwychwstanie?

- Tak jest.

- Więc i na tym punkcie zgoda pomiędzy nami, że żywi powstają z umarłych; nie mniej jak na to, że umarli powstają z żywych. A jeśli tak jest, to uzasadniony stąd wynika wniosek, że koniecznie dusze zmarłych muszą być gdzieś, skąd by na powrót mogły wracać do życia.

- Zdaje mi się - powiada - Sokratesie, że musi tak być; wedle tego, na cośmy się zgodzili.

- A zobacz no tak - powiada - Kebesie, że i nie bez słuszności zgodziliśmy się, jak uważam. Bo gdyby powstawaniu każdemu po jednej stronie nie odpowiadało zawsze powstawanie po drugiej, niby punkty drogi po kole, tylko by droga powstawania była niejako prosta, jedynie tylko z jednego przeciwieństwa w drugie, i nie zakręcałyby znowu do pierwszego, i nie wracała tym samym torem, to rozumiesz, że wszystko by w końcu przybrało jedną i tę samą postać, znalazłoby się w jednym i tym samym stanie i przestałoby się tworzyć, powstawać?

- Jak to rozumiesz? - powiada.

- Nietrudno - mówi tamten - zrozumieć, co mówię. To tak, na przykład, gdyby zasypianie istniało, a nie odpowiadałoby mu budzenie się, jako powstanie ze snu, to rozumiesz, że w końcu wszystko by Endymiona zakasowało ze szczętem. On by się zgoła nie wydał na tle, bo i wszystkie inne rzeczy robiłyby to samo co on: spały. I gdyby się wszystko mieszało, a nic nie wydzielalo z mieszaniny, prędko by przyszło to z Anaksagorasa: wielkie zmieszanie wszechrzeczy. Więc tak samo, kochany Kebesie, gdyby umierało wszystko, co tylko życia dostąpi, a po śmierci trwało w tej postaci wszystko, co umarłe, i nie wracało znowu do życia, to czyż nie musiałyby w końcu bezwzględnie wszystko pomrzeć, a nic nie zostawać przy życiu? A jeśliby to, co żyje, powstawało z czegoś innego, a co żywe, umierało, to jakimże sposobem miałyby się w końcu wszystko nie wyczerpać na dostarczanie trupów?

- Nie widzę żadnego sposobu - powiada Kebes - i zdaje mi się, Sokratesie, że to ze wszech miar prawda, to, co mówisz.

- Bo to tak jest - powiada - Kebesie, jak mi się wydaje; ze wszech miar tak; i myśmy się nie oszukali, zgadzając się na to; istnieje rzeczywistość i powrót do życia, i rzeczywistość z umarłych powstają żywi, i dusze zmarłych istnieją, i lepszym z nich jest lepiej, a gorszym gorzej.

- Tak jest - podjął Kebes - tak jest i według tego zdania przecież, Sokratesie, jeśli ono tylko jest prawdziwe, które ty tak często wypowiadasz, że nasze uczenie się niczym innym nie jest, jak tylko przypominaniem sobie; wedle tego koniecznie, chyba, musieliśmy się w jakimś poprzednim czasie wyuczyć tego, co sobie teraz przypominamy. A to byłoby niemożliwe, gdyby nie była istniała gdzieś nasza dusza, zanim w tej ludzkiej postaci na świat przyszła. Tak że i z tego punktu widzenia dusza wydaje się czymś nieśmiertelnym.

- Tylko słuchaj, Kebesie - podchwycił Simiasz - jakie są na to dowody? Przypomnij mi, bo dobrze w tej chwili nie pamiętam.

- Jeden dowód - powiada Kebes - najlepszy: oto ludzie zapytani, jeśli ich ktoś dobrze pyta, sami mówią wszystko, jak jest; a przecież, gdyby w nich nie było wiedzy i słusznej myśli, nie byliby w stanie tego zrobić. Następnie, jeżeli ich ktoś weźmie do figur geometrycznych lub czegoś w tym rodzaju, wtedy najjaśniej widać, że tak się rzeczy mają.

- A jeżeli cię to nie przekonywa, Simiaszu - powiedział Sokrates - to zobacz, czy może z tego stanowiska nie zgodzisz się z nami. Bo ty nie wierzysz, prawda, żeby tak zwane uczenie się było przypominaniem sobie?

- Co do mnie, żebym nie wierzył - powiada Simiasz - to nie. Tylko to właśnie - powiada

- chciałbym przeżyć, o czym mowa: przypomnienie. I już mniej więcej z tego, co Kebes zaczął mówić, pamiętam coś i wierzę. Mimo to jednak chętnie posłuchałbym teraz, jak to ty zacząłeś mówić.

- O, tak - powiada tamten. - Zgadza się przecież, prawda, że jeśli sobie ktoś coś przypomnieć potrafi, to musiał przedtem to kiedyś wiedzieć.

- Naturalnie - powiada.

- A czy i na to zgadzamy się, że gdy wiedza jakaś na tej drodze powstaje, to jest to przypomnienie? A o jakiej drodze mówię? O takiej: jeżeli ktoś najpierw coś zobaczy albo usłyszy lub inne jakieś od tego wrażenie zmysłowe odbierze i nie tylko pozna, ale i coś innego mu na myśl przyjdzie, co nie jest przedmiotem tej samej wiedzy, tylko innej, to czyż nie słusznie mówimy wtedy, że sobie przypomniał to, co mu na myśl przyszło?

- Jak, mówisz?

- O, tak na przykład: inna wiedza dotyczy człowieka, a inna liry.

- Jakżeby nie?

- A nieprawdaż, ty wiesz, że człowiek zakochany, kiedy zobaczy lirę albo płaszcz, albo coś innego, czego zwykł używać jego kochanek, doznaje takiego stanu: poznał lirę, a w myśli mu staje postać chłopca, do którego lira należy: to jest przypomnienie. Tak samo jak nieraz, kiedy Simiasza ktoś zobaczy, Kebes mu się przypomni, i innych tam będzie takich przykładów bez końca.

- Bez końca, doprawdy, na Zeusa - powiedział Simiasz.

- Widzisz - powiada tamten - właśnie coś takiego to jest pewne przypomnienie. Przede wszystkim zaś, kiedy ktoś doznaje takiego stanu w odniesieniu do czegoś, o czym już zapomniał, bo i czas długi minął, i on tego nie oglądał więcej.

- Tak jest - powiada.

- A cóż - mówi tamten - a czy można zobaczywszy konia narysowanego albo lirę narysowaną, przypomnieć sobie człowieka,

albo zobaczywszy narysowanego Simiasza, przypomnieć sobie Kebesa?

- Tak jest.

- Nieprawdaż, i narysowanego Simiasza zobaczywszy, przypomnieć sobie Simiasza samego?

- Można, naturalnie - powiedział.

- Więc czy z tego wszystkiego nie wynika, że przypomnienie raz idzie od tego, co podobne, a nieraz i od tego, co niepodobne?

- Wynika.

- A kiedy sobie człowiek coś przypomina po czymś podobnym, czy nie musi się do tego dołączać i stan taki: zdaje sobie człowiek sprawę z tego, czy to coś odbiega nieco pod względem podobieństwa, czy nie - od tego, co się nam przypomniało?

- Naturalnie - powiada.

- Zobacz tedy - mówi tamten - czy to tak jest. Mówimy, niby, że równość to jest coś. Ja nie myślę tego, że jeden kawałek drzewa jest równy drugiemu albo kamień kamieniowi, ani nic innego w tym rodzaju, tylko mam na myśli coś innego, poza tym wszystkim: równość samą. Jest to coś, powiemy, czy nic?

- Powiemy przecież, na Zeusa - rzekł Simiasz - jeszcze jak!

- A czy my także i wiemy, co to jest?

- Tak jest - powiedział tamten.

- A skądęśmy wzięli wiedzę o tym? Chyba nie z tych rzeczy, o którychśmy w tej chwili, teraz mówili; nie kawałki drewna czy kamienie, czy co tam innego oglądając równego, z nichśmy sobie myśli o tamtym utworzyli, bo ono inne jest od tych rzeczy? Czy może nie wydaje ci się czymś innym?

A zobacz i tak. Czy kamienie równe i kawałki drewna, nieraz takie same, nie wydają się raz równe, a raz nie?

- Tak jest.

- No cóż; a równości same, bywa, żeby ci się nierównymi wydawały? Albo równość nierównością?

- Nigdy przecież, Sokratesie.

- Więc to może nie jest to samo - powiedział tamten - owe rzeczy równe i równość sama.

- Zdaje mi się, że nie jest, Sokratesie.

- A jednak od tych - powiada - rzeczy równych, choć one są czymś innym niż owa równość, jednak od nich twoja wiedza o równości pochodzi i z nich ją twoja myśl wzięła?

- Najzupełniejszą prawdę mówisz - powiada.

- Nieprawdaż; bez względu na to, czy ona do nich podobna, czy niepodobna?

- Tak jest.

- Bo to - mówi tamten - nie stanowi żadnej różnicy. Jeśli tylko przy patrzeniu na cokolwiek pod

wpływem tego widoku coś innego ci na myśl przyjdzie, czy to podobnego, czy niepodobnego, niewątpliwie - powiada - zachodzi wtedy przypomnienie.

- Tak jest.

- No, a to? - powiada tamten. - Czy trafia się nam coś takiego w odniesieniu do kawałków drzewa i tych rzeczy równych, o którycheśmy dopiero co mówili: czy wydają się nam tak równe jak równość sama, czy też niedostaje im czegoś do niej i nie są takie jak równość, czy też niczego im nie brak?

- Daleko im przecież do niej - powiada.

- Nieprawdaż, zgadzamy się, że jeśli ktoś coś zobaczy i pomyśli, że chciałoby wprowadzić to, co teraz widzę, być takie jak inny jakiś przedmiot, ale mu daleko do tego i ono nie potrafi być takie jak tamto, tylko jest lichsze od niego, to przecież bezwarunkowo ktoś, komu taka myśl przychodzi, musi naprzód znać tamten przedmiot, do którego, mówi, że ten tu jest podobny wprowadzić, ale mu jeszcze daleko do tamtego?

- Bezwarunkowo.

- Cóż więc? Czy coś takiego nie dzieje się i z nami w stosunku do przedmiotów równych i do równości?

- Ze wszech miar.

- Więc może musieliśmy naprzód znać równość, przed tym czasem, w którym po raz pierwszy zobaczyliśmy rzeczy równe i pomyśleli, że wszystkie one wprowadzić chciałyby być takie jak równość, ale im daleko do tego.

- Jest tak.

- Tak, a więc i na to się zgodzimy, że nie skądinąd taka myśl poszła ani powstać mogła, jak tylko z zobaczenia lub dotknięcia, lub innego jakiegoś wrażenia zmysłowego. Bo to wszystko jedno, myślę.

- To też jest wszystko jedno, Sokratesie; przynajmniej w tej sprawie, którą ma wyjaśnić nasza rozmowa.

- A więc tak; więc na spostrzeżeniach zmysłowych musi się opierać myśl, że wszystko to, co jest w tych spostrzeżeniach, tylko chciałoby być takie jak równość sama, tylko zmierza do niej, ale jej nie dorasta. Czy jak powiemy?

- Tak.

- Więc może, zanim się zaczęli widzieć i słyszeć, i inne czynić spostrzeżenia, musieliśmy gdzieś byli zachwycić wiedzę o równości samej i poznać, czym ona jest, jeśliśmy mieli do niej odnosić te rzeczy równe w spostrzeżeniach i stwierdzać, że one wszystkie pragną być takie jak ona, ale są od niej lichsze.

- Niewątpliwie tak, wedle tego, co się powiedziało, Sokratesie.

- A nieprawdaż, że po urodzeniu zaraz widzieliśmy i słyszeli, i posiadaliśmy inne spostrzeżenia?

- Tak jest.

- Więc trzeba było, powiemy, przedtem kiedyś posiadać wiedzę o tym, co równe?

- Tak.

- Więc może chyba przed urodzeniem musieliśmy ją posiadać?

- Zdaje się. - Nieprawdaż, jeśli dostawszy ją przed urodzeniem, przyszliśmy z nią na świat, to znaliśmy i przed urodzeniem, i zaraz po urodzeniu nie tylko to, co równe, i to, co większe, i to, co mniejsze, ale i wszystkie tego rodzaju rzeczy? Bo przecież nie mówimy w tej chwili jedynie tylko o równości, ale

równie dobrze o tym, co piękne samo w sobie i co dobre samo w sobie i sprawiedliwe, i zbożne i, jak mówię, o wszystkim, co jak pieczęcią, oznaczamy zwrotem: "jest czymś", zarówno w pytaniach, gdy pytamy, jak i w odpowiedziach, gdy odpowiadamy. Tak że musieliśmy koniecznie byli wziąć skądś znajomość tych wszystkich rzeczy już przed urodzeniem.

- Jest tak.

- I gdybyśmy wzięwszy ją, nie byli jej w każdym wypadku zapomnieli, byłibyśmy nie tylko z nią przychodzili na świat, ale i zachowywali ją przez całe życie. Bo wiedzieć znaczy: zdobywszy wiedzę o czymś, mieć ją i nie zapomnieć. Czyż nie to nazywamy zapomnieniem, Simiaszu: utratę wiedzy?

- Tak przecież, Sokratesie.

- Jeśli więc, uważam, dostawszy ją przed urodzeniem, zapomnieliśmy ją przychodząc na świat, a potem, posługując się zmysłami, na powrót tamte wiadomości odzyskujemy, któreśmy przedtem kiedyś posiadali, to czyż to, co nazywamy uczeniem się, nie jest odzyskiwaniem naszej własnej wiedzy? Jeśli to nazwiemy przypominaniem sobie, słusznie to chyba nazwiemy.

- Tak jest.

- Otóż okazało się rzeczą możliwą, żeby człowiekowi, który spostrzegł coś: zobaczył czy usłyszał,

czy inne jakieś wrażenie zmysłowe odebrał, coś innego od tych rzeczy w myśli stawało, co był zapomniat, a czemu bliski był przedmiot spostrzeżony, choć niepodobny, albo nieraz i podobny. Tak że jak powiadam, jedno z dwojga: albośmy wiedzę o tych rzeczach przynieśli na świat i posiadamy ją wszyscy przez całe życie, albo później ci, o których powiadamy, że się uczą, nic innego nie robią, tylko sobie przypominają i uczenie się byłoby przypominaniem sobie.

- Naturalnie, że tak się rzeczy mają, Sokratesie.

- Zatem co wybierasz, Simiaszu? Przynosimy ze sobą wiedzę już na świat, czy też przypominamy sobie dopiero później to, o czymś przedtem wiedzę posiadli?

- Trudno mi, Sokratesie, w tej chwili wybrać.

- No cóż, a z tego umiesz wybrać i co sobie o tym myślisz? Człowiek, który posiada wiedzę o czymś, potrafi zdać sprawę z tego, co wie, czy nie potrafi?

- Ależ tak, koniecznie, Sokratesie.

- A czy uważasz, że wszyscy ludzie potrafią zdać sprawę z tych rzeczy, któreśmy przed chwilą wymieniali?

- Bardzo bym tego chciał - powiada Simiasz - ale ja się raczej obawiam, że jutro o tej porze nie będzie ani jednego człowieka, który by to godnie robić potrafił.

- Więc nie uważasz, żeby wszyscy posiadali wiedzę o tych rzeczach?

- Nigdy.

- Więc tylko sobie przypominają to, czego się kiedyś nauczyli?

- Musi tak być.

- A kiedyż to zachwyciły dusze nasze wiedzę o tych rzeczach? Boć przecie nie po tym momencie, kiedyśmy się porodzili ludźmi?

- Pewnie, że nie.

- Więc może wcześniej?

- Tak.

- Więc może istniały, Simiaszu, dusze wcześniej, zanim weszły w postać człowieka; bez ciał, a rozum miały.

- A może my, Sokratesie, z chwilą urodzenia nabywamy te wiadomości, bo jeszcze ten moment zostaje.

- Dobrze, przyjacielu. A tracimy je w jakimże innym czasie? Bo przecież nie przynosimy ich na świat, jakżeśmy się dopiero co zgodzili. Czy może w tym samym momencie je tracimy i zyskujemy? Czy też potrafisz podać inny jakiś moment?

- Nigdy, Sokratesie; ja nie zauważyłem, żem się odezwał nie do rzeczy .

- Więc czy nie tak jest - powiada - Simiaszu: jeśli istnieje to, o czym trąbimy wciąż, to piękno i dobro, i cała tego rodzaju rzeczywistość, i my do niej odnosimy wszystkie dane naszych spostrzeżeń zmysłowych jako do czegoś, co istniało wcześniej, i odnajdujemy w niej to, że była naszą, i porównujemy z nią te rzeczy tutaj, to koniecznie musi i nasza dusza być, tak samo jak owa rzeczywistość, jeszcze zanim się na świat przyszedł. A jeżeli nie istnieje tamto, to daremne może nasze wywody? Czy nie tak jest i nie równa konieczność, żeby i tamto istniało, i nasze dusze, zanim się porodziły, a jeśli tamtego nie ma, to i tego nie?

- Nadzwyczajnie, Sokratesie - powiedział Simiasz - zdaje mi się, że tu ta sama konieczność zachodzi i wychodzi bardzo pięknie, naprawdę: że podobnie istniała nasza dusza, zanim się przyszedł na świat, jak i ta rzeczywistość, o której teraz mówisz. Bo dla mnie przynajmniej nic ma nic bardziej oczywistego nad to, że wszystkie tego rodzaju rzeczy istnieją najbardziej, jak tylko można: to piękno i dobro, i te wszystkie inne rzeczy, o których w tej chwili wspominałeś. Tak że mnie przynajmniej ten dowód zupełnie wystarcza.

- A jakże Kebesowi? - powiada Sokrates. - Trzeba przecież i Kebesa przekonać.

- Wystarcza mu - powiedział Simiasz - jestem przekonany. Choć on jest niesłychanie twardy na tym punkcie: nigdy nie wierzy wywodom. Sądzę jednak, że jest dostatecznie przeświadczony o tym, że zanim się przyszedł na świat, dusza nasza istniała. Czy jednak i po naszej śmierci jeszcze będzie istniała, tego nawet i ja sam nie mam wrażenia, żebyśmy dowiedli; jeszcze zostaje nie obalone to, co przed chwilą Kebes mówił, to pospolite: kto wie, czy aby ze śmiercią człowieka dusza się nie rozprasza i czy to dla niej nie jest koniec istnienia. Bo cóż stoi na przeszkodzie temu, żeby powstawała i zbierała się skądś tam, i istniała przed wejściem w ciało ludzkie, ale skoro raz wejdzie i wyjdzie z niego, wtedy już koniec jej i ztrata?

- Dobrze mówisz, Simiaszu - powiedział Kebes. - Zdaje się, że dowiodło się jak gdyby połowy tego, o co chodzi, tego, że zanim się porodził, istniała nasza dusza; trzeba jeszcze i tego dowiedzieć, że gdy pomrzemy, będzie istniała tak samo dobrze jak przed urodzeniem; jeżeli dowód ma być skończony.

- Dowód skończony - powiada Sokrates - mamy, Simiaszu i Kebesie, już i teraz, jeżeli zechcecie zestawzić ten wywód z tym, na któryśmy się poprzednio zgodzili: że wszystko, co żyje, powstaje z tego, co nie żyje. Jeżeli bowiem dusza istnieje już i poprzednio, a do życia idąc i rodząc się, nie może nikąd się urodzić jak tylko ze śmierci i z martwych, to jakże nie ma koniecznie istnieć i po śmierci, skoro przecież musi znowu się urodzić? Więc już i teraz jest dowód na to, co się mówi.

Mimo to mam wrażenie, że ty i Simiasz chętnie byście jeszcze bliżej przedyskutowali ten wywód, a boicie się tak jak dzieci, aby duszy naprawdę wiatr nie porozdmuchiwał na wszystkie strony i nie rozprószył, jak będzie z ciała wychodziła; tym bardziej jeżeli ktoś będzie umierał nie podczas ciszy, ale gdzieś na wielkim wietrze.

Kebes uśmiechnął się na to i powiada: - To i tak, jak gdybyśmy się bali, próbuj nam perswadować, Sokratesie. A raczej nie tak, jak gdybyśmy się my sami bali, tylko siedzi może i w każdym z nas taki chłopiec jakiś, który się takich rzeczy boi. Więc do niego spróbujmy przemówić, żeby się nie bał śmierci jak strasydła.

- A to trzeba mu - powiada Sokrates - czary przyśpiewywać co dnia, aż go z tej obawy wyleczycie.

- Ale skąd my - powiada - Sokratesie, takiego dobrego czarodzieja weźmiemy, kiedy ty nas opuszczasz?

- Hellada jest duża, Kebesie, i są w niej gdzieś ludzie dzielni; a liczne są i barbarzyńców ludy; trzeba je wszystkie przetrząsnąć i takiego czarodzieja szukać, ani pieniędzy nie szcędząc, ani trudów. Nie ma wydatku bardziej na czasie niż ten. A szukać powinniście i sami pomiędzy sobą.

Może nawet i niełatwo potraficie znaleźć kogoś, kto by to lepiej od was potrafił robić.

- Nie omieszkamy, z pewnością - powiedział Kebes. - Ale jeżeliś łaskaw, to wróćmy do tego, cośmy urwali.

- Owszem, bardzo chętnie; dlaczegożby nie?

- To bardzo pięknie - powiada.

- Otóż o coś w tym rodzaju - mówi Sokrates - powinniśmy zapytać sami siebie: jakiemu też to przedmiotowi wypada doznawać tego stanu rozproszenia i o jaki przedmiot wypada się bać, żeby tego stanu nie doznał, a o jaki nie ma obawy. Potem zaś zastanowić się, do którego z tych dwóch rodzajów przedmiotów należy dusza, i zależnie od wyniku być dobrej myśli albo się bać o nią.

Otóż czy to nie przedmioty złożone, powstałe przez syntezę, podlegają z natury rzeczy temu stanowi: rozpadają się tak samo, jak zostały złożone. Ale jeśli coś jest niezłożone, to właśnie ono jedynie podlegać temu nie może, jeśli w ogóle cokolwiek?

- Zdaje mi się - powiada Kebes - że tak jest.

- Nieprawdaż; cokolwiek zawsze zostaje takie samo i niezmiennie, to przede wszystkim będzie niezłożone, a co raz takie, raz inne i nigdy takie samo, to będzie złożone?

- Mnie się przynajmniej tak wydaje.

- A zwróćmy się - powiada - do tego, czegośmy poprzednio dotknęli w rozmowie. Rzeczywistość sama, z którą wiążemy pojęcie istnienia i w pytaniach, i w odpowiedziach, czy ona zostaje zawsze jednaka i niezmienna, czy raz jest taka, raz inna? Równość sama, piękno samo, wszystko, cokolwiek istnieje samo, każdy byt podpada kiedy jakiegokolwiek przemianie? Czy też zawsze wszystko, cokolwiek istnieje naprawdę, jedną tylko zachowuje postać samo w sobie, jednakie zawsze i niezmiennie, żadnej nigdy i po żadnym względem odmianie nic podlegając?

- Zawsze zostaje takie samo, oczywiście, Sokratesie - powiedział Kebes.

- A jakże się ma rzecz z licznymi przedmiotami pięknymi, jak na przykład z ludźmi, końmi czy płaszczami, czy innymi jakimikolwiek rzeczami, czy to równymi, czy pięknymi, czy wszystkimi, które takie samo imię noszą jak one? Czy są nieodmienne, czy też wprost przeciwnie jak tamte: ani same w stosunku do siebie samych, ani jedne w stosunku do drugich nigdy, powiedzieć można, nie zostają jednakie?

- Znowu tak jest - powiedział Kebes. - Nigdy one nie są takie same.

- Nieprawdaż, tych możesz i dotknąć, i zobaczyć, i innymi je spostrzec zmysłami; natomiast tych niezmiennych nie sposób uchwycić czym innym jak tylko pracą rozumu, bo to są rzeczy bezpostaciowe i zobaczyć ich nie można.

- Ze wszech miar - rzecze - prawdę mówisz

- Więc jeżeli chcesz, to przyjmijmy - powiada - dwa rodzaje bytów: jeden widzialny, a drugi bez postaci.

- Przyjmijmy - mówi.

- I ten bez postaci zawsze jest taki sam, a widzialny nigdy?

- I to - powiada - załóżmy.
- No, a dalej - mówił tamten - w nas samych czyż nie jest jedno ciałem, a drugie duszą?
- Nie inaczej - powiada.
- Do któregoż więc z tych dwóch rodzajów, możemy powiedzieć, podobniejsze jest nasze ciało i z którym bardziej spokrewnione?
- To przecież każdemu jasne - powiada - że z widzialnym.
- A cóż dusza? Widzialna czy nie?
- Nie dla ludzi przecież, Sokratesie.
- Ale my mówimy o tym, co widzialne i co nie, ze względu na naturę ludzką przecież. Czy na jakąś inną, myślisz?
- Ze względu na ludzką.
- Więc co powiemy o duszy? Widzialna jest czy niewidzialna?
- Niewidzialna.
- Więc bez postaci?
- Tak jest.
- Zatem dusza jest więcej niż ciało podobna do tego, co nie ma postaci, a ono więcej do tego, co widzialne.
- Ze wszech miar tak musi być, Sokratesie.
- Nieprawdaż, i tośmy przedtem mówili, że dusza, ilekroć się ciałem posługuje do rozpatrywania czegoś, więc albo wzrokiem, albo słuchem, albo innym jakimś zmysłem - bo to właśnie znaczy posługiwać się ciałem: rozpatrywać coś za pośrednictwem wrażeń zmysłowych
- wtedy ją ciało za sobą wlecze w dziedzinę tego, co nigdy nie jest jednakie, i ona się błąka i niepokoi, i zawrotu doznaje jak pijana, bo się takich rzeczy tknęła?
- Tak jest.
- A ilekroć rozpatruje coś sama w sobie, natenczas leci tam, w dziedzinę tego, co czyste i wiecznotrwałe, i nieśmiertelne, i zawsze jednakie; ona tego krewna, zawsze się do tego zbliża, ilekroć sama z sobą zostanie, o ile jej to wolno; przestaje się wtedy błąkać i obcując z tym zawsze się jednak do tego samego odnosi, bo się takich rzeczy tknęła. A ten stan jej nazywają rozumem.
- Ze wszech miar - powiada - piękne i prawdziwe twoje słowa, Sokratesie.
- Więc do którego, sądzisz znów, rodzaju przedmiotów dusza jest podobniejsza i z którym bliżej spokrewniona, wedle tego, co się przedtem i co się teraz powiedziało?
- Chyba każdy, sądzę, zgodzi się po tej rozprawie, najbardziej nawet nieuczony, że ze wszech miar i całkowicie dusza podobniejsza jest do tego, co wieczne i niezmienne, niż do tego, co nie.
- A cóż ciało?
- Ciało do tego drugiego.

- A zobacz no rzecz i z tej strony, że jak długo razem są dusza i ciało, jemu: służyć i podlegać nakazuje natura, a jej: panować i władać. Z tego względu które z nich dwojga wydaje ci się podobnym do tego, co boskie, a które do tego, co śmiertelne? Czy nie zdaje ci się, że to, co boskie, jest zrodzone do władzy i rządu, a to, co śmiertelne, do podlegania i służby?

- Zdaje mi się.

- Do któregoż więc z tych dwóch pierwiastków dusza jest podobna?

- Jasna rzecz przecież, Sokratesie, że dusza do tego, co boskie, a ciało do tego, co śmiertelne.

- Więc zobacz no - powiada - Kebesie, czy z tego wszystkiego, cośmy powiedzieli, nie to nam wychodzi, że do tego, co boskie i nieśmiertelne, i dla myśli tylko dostępne, i jedną tylko postać mające, i nierozkładalne, i zawsze samo w sobie jednakie, najpodobniejsza jest dusza; a do tego, co ludzkie i śmiertelne, i bezmyślne, i wieloposiaciowe, i rozkładalne, i zawsze samo w sobie wielorakie, najpodobniejsze znowu jest ciało. Mamy przeciwko temu coś innego do powiedzenia, kochany Kebesie, że nie tak się rzeczy mają?

- Nie mamy.

- Cóż więc? Jeżeli tak się rzeczy mają, to czyż nie ciała prędko rozłożyć się wypada, a dusza w ogóle nierozkładalna będzie, albo coś tak koło tego?

- Jakżeby nie.

- Pojmujesz tedy, że skoro człowiek umrze, wówczas to, co w nim widzialne, ciało, to, co na widoku leży, a co my trupem nazywamy, któremu się wypada rozłożyć i rozpaść, i rozwiać na wszystkie strony, nie w tej chwili doznaje czegokolwiek w tym rodzaju, ale wytrzymywać zwykło dość długi czas, choćby nawet bardzo delikatne ciało miał ten, który umarł, a nawet w takiej krasie wieku bardzo długo trwa; bo takie ciało pozbawione wnętrzości a zabalsamowane, jak ci zabalsamowani w Egipcie, utrzymuje się prawie w zupełności nieprawdopodobnie długi czas, a niektóre części ciała, choć ono samo zgnije, jak kości i ścięgna, i takie tam inne wszystkie, również, powiedzieć można, są nieśmiertelne. Czy nie?

- Tak.

- No, a dusza, to bezpostaciowe przecież, to, co w inne miejsce, takie samo jak ono, odlatuje, szlachetne i czyste, i bezpostaciowe, na tamten świat, doprawdy, do dobrego i rozumnego boga odchodzi, dokąd, jeśli bóg pozwoli, niedługo i mojej duszy iść wypadnie; i ona, taka właśnie z natury, miałaby rozłączywszy się z ciałem rozwiewać się natychmiast i ginąć, jak mówi wielu spośród ludzi? Daleko do tego, doprawdy, kochany Kebesie i Simiaszu. Tylko z pewnością raczej tak się rzeczy mają: jeśli się oderwie czysta i żadna cząstka ciała się z nią nie wlecze, bo ona nic wspólnego z nim nie miała za życia dobrowolnie, tylko uciekała odeń i skupiała się sama w sobie, i wciąż o to dbała - a to nic innego nie znaczy, tylko że filozofowała jak należy i starała się rzeczywiście umrzeć lekko - to czyż to nie jest właściwa troska o śmierć?

- Ze wszech miar, przecież.

- Nieprawdaż, dusza o tych znamionach w dziedzinę podobną do niej odchodzi: bezpostaciową, boską, nieśmiertelną i rozumną, dokąd przyjdzie i będzie szczęśliwa; skończy błędną wędrówkę i wyzbędzie się bezmyślności i obaw, i żądz dzikich, i innych nieszczęść ludzkich i, jak mówią wtajemniczeni, naprawdę resztę czasu między bogami spędzi. Tak powiemy, Kebesie, czy inaczej?

- Tak jest, na Zeusa - powiedział Kebes.

- A jeśli znowu, mniemam, splamiona i nie oczyszczona od ciała się oderwie, a zawsze z ciałem trzymała i dbała o nie, i kochała je, i ulegała jego czarowi, i żądzom, i rozkoszom, tak że się jej nic innego nie wydawało rzeczywistym jak tylko to, co do ciała podobne, czego by się dotknąć można i zobaczyć, i wypić, i zjeść, i do płciowej rozkoszy zażyć, a tego, co dla oczu niedostępne i ciemne, a tylko dla filozofii i rozumu uchwytnie, tego zwykła była niena- widzieć i bać się tego, i uciekać przed tym - czy taka dusza, myślisz, potrafi się na czysto, sama w sobie, oderwać?

- Ani trochę - powiada.

- Tylko będzie, sądę, na wskroś pierwiastkiem cielesnym przeniknięta, który w nią wrósł przez ustawiczne i bliskie życie się z ciałem i wielką troskę o nie.

- Tak jest.

- A trzeba przypuszczać, przyjacielu, że to pierwiastek ociężyła, ciężki i do ziemi zbliżony, i widzialny. Toteż taka dusza nasiąkła tym, co cielesne, ciężki i wlecze się znowu na miejsca widzialne, ze strachu przed tym, co niewidzialne, przed tamtym światem, i jak powiadają, włóczy się koło pomników i grobów, gdzie już nieraz widywano jakieś do cieniów podobne dusz widziadła; bo powstają widma z dusz tego rodzaju, które się nie oddzieliły czysto, tylko mają w sobie to, co widzialne, przez co je też i widać.

- Prawdopodobnie tak, Sokratesie.

- Prawdopodobnie, Kebesie. I to z pewnością nie są dusze ludzi dzielnych, tylko złych, które się po takich miejscach błąkać muszą, pokutując za pierwsze swoje życie: złe. I błąkają się tak długo, póki nie ulegną żądzy cielesnego pierwiastka, który im towarzyszy, i znowu w ciała nie wejdą.

A wchodzą, oczywiście, w takie charaktery, jakie im najbliższe były za życia.

- Jakież to masz na myśli, Sokratesie?

- Na przykład ci, którzy się obżarstwu oddawali i szelmostwom, i pijaństwom, a nie unikali tego, w potomstwo osłów wejść powinni i tym podobnych zwierząt. Czy nie sądzisz?

- Owszem, bardzo słusznie mówisz.

- A ci, którzy lubili krzywdzić i tyranizować, i rabować, w pokolenie wilków i jastrzębi, i sępów. Bo w cóż by innego, powiemy, miały takie dusze wstąpić?

- Niewątpliwie - powiada Kebes - w coś w tym rodzaju.

- Nieprawdaż - mówił tamten - jasna jest i reszta: w co tam która wstąpi, zależnie od swego najbliższego zainteresowania w życiu?

- Jasna rzecz - powiada. - Jakże ma być inaczej?

- A prawda, że najszcześliwsi z nich będą ci i na najlepsze miejsca pójdą, którzy się dzielnością obywatelską odznaczali i oddawali pracy społecznej, rozsądnie panujący nad sobą i sprawiedliwi, chociaż ta tak zwana dzielność ich tylko z przyzwyczajenia i z pracy nad sobą wyrosła, a nie z umiłowania mądrości i z rozumu?

- A czemuż ci najszcześliwsi?

- Bo tacy powinni wejść znowu w jakiś podobny gatunek: uspołeczniony i łagodny; więc może w pszczoły, w osy czy w mrówki, albo z powrotem w ród ludzki i powinni z nich być przeciętni porządni ludzie.

- Powinni.

- A pomiędzy bogi wstąpić nie godzi się temu, który mądrości nie ukochał i nie doszedł całkowicie czysty; tam wejdzie tylko przyjaciel nauki. Dlatego to, przyjacielu Simiaszu i ty, Kebesie, ci, którzy mądrość kochają jak należy, powstrzymują wszystkie swoje żądze cielesne, mają moc nad sobą i nie oddają się pod władzę żądz, ani się ruiny domu swego bojąc, ani ubóstwa, jak ci, których wielu, i ci, co się w pieniądzach kochają, ani o lekceważenie publiczne dbając, ani o opinię, która na nich przez ramię spogląda, jak ci, co kochają władzę i zaszczyty; toteż trzymają się z dala od tych rzeczy.

- Boby im nie wypadało nawet, Sokratesie - powiedział Kebes.

- O, nie, na Zeusa - ciągnął dalej Sokrates. - Toteż z tymi wszystkimi tamci, którym coś na własnej duszy zależy, a nie tylko ciała swoje pielęgnują całe życie, rozbrat biorą zupełny i nie wstępują w ich

ślady; wiedzą bowiem, dokąd idą, i wierzą, że nie należy robić tego, co umiłowaniu mądrości przeciwne i co oddala wyzwolenie i oczyszczenie przez filozofię; do niej się więc zwracają i za nią idą tam, dokąd ona prowadzi.

- Jak, Sokratesie?

- Ja powiem - rzekł. - Ci, którzy kochają naukę, poznają, że filozofia duszę ich znajduje po prostu związaną i przyrosłą do ciała, i przymuszoną oglądać byty przez ciało niby przez kraty więzienia: dusza ich nie może patrzeć sama przez się i w tej ciemności swojej wije się i widzi, jak straszne jest to więzienie, w którym ją żądze trzymają, a sam więzień pomaga własne zacieśniać kajdany - więc, jak mówię, poznają miłujący naukę, że filozofia w tym stanie duszę ich znajduje, i zaczyna jej ciche, dobre słowa szeptać wykazując, że błędu pełne jest poznanie przez oczy i pełne błędu owo przez uszy, i przez inne wrażenia zmysłowe, i radzi jej oddalić się od nich, o ile tylko ich Koniecznie używać nie trzeba, a samej w sobie się zebrać i skupić i nikomu innemu nie wierzyć, jak tylko sobie samej, kiedy sama w sobie jakiś byt sam w sobie dostrzeże. A co by za czymś pośrednictwem dostrzegła, tu takie, a tam inne, tego niech za żadną prawdę nie uważa. Takim jest wszystko to, co zmysłami dostrzegalne i widzialne, a to, co ona sama widzi, to umysłem tylko pojęte i pozbawione postaci. Otóż temu wyzwoleniu, dusza prawdziwego filozofa sądzi, że się sprzeciwiać nie trzeba; wstrzymuje się więc od rozkoszy i żądz, i cierpień, i obaw, ile tylko może, licząc się z tym, że gdy się ktoś gwałtownie cieszy lub boi, lub martwi, lub pożąda, ten nie tę wielką szkodę ponosi, o której mógłby ktoś myśleć, że oto zachoruje albo jakieś pieniądze straci przez swoje żądze, ale szkodę, która jest największa ze wszystkich nieszczęść i niepowetowana; dozna jej, a wcale jej nie weźmie w rachubę.

- A cóż to za nieszczęście takie, Sokratesie?

- Dusza każdego człowieka, jeśli się czymś gwałtownie cieszy albo martwi, musi równocześnie uważać, że to, co ją najgwałtowniej wzrusza, to równocześnie jest najbardziej oczywiste i prawdziwe, mimo że ono wcale takie nie jest. A to przede wszystkim rzeczy widzialne. Czy nie?

- Tak jest.

- Nieprawdaż, w tym stanie ciało największe kajdany nakłada na duszę?

- Jakże to?

- Bo każda rozkosz i każdy ból niby gwoździem duszę do ciała przybija i niby szpilkami ją do niego przyczepia, i cielesne cechy jej nadaje; potem jej się zdaje, że to jest prawda, co tylko jej ciało podyktować zechce.

Kiedy tak zacznie dzielić z ciałem myśli i uczucia, musi, sądzę, nabierać jego zwyczajów i zaczyna potrzebować jego pokarmów, tak że już nigdy nie może czysta przyjść do Hadesu, tylko zawsze cielesnością zapelniona wyjdzie, tak że prędko znowu w inne ciało wpadnie i jakby ją kto posiał, wrośnie. Przez to nie będzie jej dane obcować z tym, co boskie, czyste i zawsze w jednej postaci.

- Wielką prawdę mówisz, Sokratesie - powiedział Kebes.

- Dlatego to, Kebesie, ludzie, którzy słusznie naukę kochają, porządni są i mężni, a nie dlatego, dlaczego ludzie mówią. Czy myślisz może, że tak?

- Ależ nie, ja na pewno nie.

- A nie. Bo tak będzie rozumować dusza filozofa: nie będzie sądziła, że filozofia powinna wprowadzić ją wyzwolić, ale gdy wyzwoli, wtedy ona sama może się znowu oddać w niewolę rozkoszom i bólom i na nowo pójść w kajdany; zasiąść niby do krosien Penelopy i jej pracę daremną w drugą stronę powtarzać. Nie: ona sobie da pokój z tym wszystkim; rozumująca i niezachwiana, i zawsze to, co prawdziwe i boskie, i niezależnie od mniemań ludzkich oglądająca, i tym się odżywiająca; będzie wierzyła, że tak żyć powinna, jak długo żyć będzie, a kiedy skończy, pójdzie do tego, co jej krewne, i uwolni się ode złego, które jest udziałem człowieka. Kiedy tym żyć będzie, wtedy nie ma strachu o to, Simiaszu i Kebesie, żeby się przy tej robocie bać miała, aby się nie rozpadła, kiedy będzie z ciała wychodzić, aby jej wiatry nie rozpędziły i nie rozniosły na wszystkie strony, tak żeby z niej już nigdzie nic nie zostało. Milczenie zaległo, kiedy to powiedział Sokrates. Dłuższy czas i on był zamyślony nad tym, co mówił, i widać to było po nim; i z nas prawie wszyscy. A Kebes i Simiasz coś tam z sobą rozmawiać zaczęli. Sokrates zobaczył to i zapytał: Cóż - powiada - wam się ten wywód chyba nie wydaje niedostateczny?

Choć to prawda, że wiele w nim jeszcze miejsc podejrzanych i o niejedno można w nim zaczepić, jeżeliby kto chciał naprawdę przejść te rzeczy tak jak trzeba. Więc jeżeli mówicie o czymś innym, to się nie mieszam, ale jeżeli z tym tu macie jakiś kłopot, to nie ociągajcie się, powiedzcie sami, choćby szerszy wywód, może się wam wyda lepszy pod jakimś względem, albo i mnie weźcie z sobą, jeżeli może uważacie, że ze mną lepiej sobie dacie rady.

Simiasz powiada: Tak jest, Sokratesie, ja ci prawdę powiem. My tu już od chwili obaj nie wiemy, co począć, i jeden drugiego naprzód wypycha, aby się zapytać, bo pragnęlibyśmy usłyszeć, ale boimy się tobie naprzykrzać; mogłoby ci to być niemiłe w tym nieszczęściu teraz. On to usłyszał, uśmiechnął się łagodnie i powiada: Hej, hej, Simiaszu; pewnie, że mi trudno było innych ludzi przekonać, że tego, co mi teraz padło, nie uważam za nieszczęście, kiedy ja nawet wam tego wyperswadować nie mogę, tylko się wciąż boicie, że mi dziś gorzej może niż w poprzednim życiu. Widać, uważacie, że wiesz czego daru nie mam nawet tyle co łabędzie. One, kiedy widzą, że im umierać trzeba, śpiewają podobnie jak i przedtem; ale wtedy przede wszystkim i najwięcej śpiewają; z radości, że mają odejść do boga, któremu przecież służą. A ludzie, ponieważ się sami śmierci boją, roznoszą fałszywe wieści i o łabędziach. I mówią, że one płaczą, że one z bólu śpiewają przed śmiercią, a nie liczą się ludzie z tym, że żaden ptak nie śpiewa, kiedy głodny albo mu zimno, albo mu inny jaki ból dokucza; nawet słowik, nawet jaskółka i dudek, o których mówią, że z bólu płacząc śpiewają. Ja ma wrażenie, że ani one nie płaczą śpiewem, ani łabędzie. Tylko myślę, że to przecież ptaki Apollona,

więc mają wieszczy dar i z góry wiedzą, jak tam dobrze w Hadesie; toteż śpiewają i cieszą się w tym dniu osobliwie, więcej niż kiedy. Ja uważam, że tak samo jak łabędzie służę temu samemu bogu i nie gorszy od nich dar wieszczy od swojego pana dostałem; więc i z nie mniejszą otuchą niż one z życia odchodzę. Toteż trzeba mówić i pytać, o co tylko chcecie, póki pozwala ateńskie Kolegium Jedenastu.

- Dobrze mówisz - powiada Simiasz. - Ja ci powiem, co mi nastęcza wątpliwości, i on także, czego niepodobna przyjąć w tym wywodzie. Bo mnie się zdaje, Sokratesie, być może, tak samo jak i tobie, że o takich rzeczach wiedzieć coś jasnego w obecnym życiu albo w ogóle nie można, albo niezmiernie trudno. A cokolwiek się o tym mówi, to na wszelkie sposoby trzeba brać krytycznie i jeśli się nie jest pozbawionym wszelkiej energii, nie ustawać, póki ze wszech stron rzecz rozpatrując sił człowiekowi nie zabraknie. W tych sprawach przecież trzeba do jednego dojść: albo się dowiedzieć, jak to jest, czy wpaść na to, albo jeśli to niemożliwe, przyjąć z tego, co ludzie o tym mówią, to, co najlepsze i co najtrudniej obalić, i na tym płynąć jak na desce; może się i tak życie przepłynie, jeśli kogoś nie stać na bezpieczniejszy i mocniejszy statek, względnie jakąś boską myśl. Tak więc i teraz ja przynajmniej nie będę się wstydził pytać, skoro ty na to pozwalasz; przynajmniej nie będę sobie później robił wyrzutów, że teraz nie powiedziałem tego, co sobie myślę. Bo ja, Sokratesie, kiedy i sam u siebie, i razem z nim to roztrząsam, wydaje mi się, że to, co się powiedziało, nie jest zupełnie w porządku.

Na to Sokrates: Może być - powiada - że ci się słusznie zdaje, przyjacielu. Tylko powiedz, co właściwie nie jest w porządku?

- To, moim przynajmniej zdaniem: zupełnie tak samo przecież mógłby ktoś mówić o harmonii, o lirze i o strunach, że harmonia jest czymś niewidzialnym i bezcielesnym, i przepięknym, i boskim w lirze dobrze nastrojonej, a lira sama i jej struny to ciała i rzeczy cielesne, złożone i do ziemi zbliżone, i spokrewnione z tym, co śmiertelne. Więc gdyby ktoś albo lirę połamał, albo poprzecinał czy pozrywał struny i potem by ktoś dowodził tak samo jak ty, że koniecznie musi jeszcze istnieć ta harmonia i nie mogła zginąć, bo niby to nie sposób, żeby lira jeszcze istniała, mimo że struny zerwane, te struny śmierci podległe, a harmonia, spokrewniona i z natury swej podobna do tego, co boskie i nieśmiertelne, miałaby ginąć prędzej niż to, co umiera? Nie, powiedziałyby; musi jeszcze gdzieś istnieć harmonia sama i prędzej to drewno i te struny pogniją, zanim jej się cokolwiek stanie. A tu, Sokratesie, ja przynajmniej mam wrażenie, że i ty sam masz to na myśli, że my duszę uważamy za coś w tym rodzaju. Podczas gdy ciało nasze trzyma w napięciu i spaja ciepło, zimno, suchość, wilgoć i inne tym podobne rzeczy, dusza nasza jest mieszaniną i harmonią tych czynników; o ile one są dobrze ze sobą zmieszane i w pewnej mierze.

Otóż jeśli dusza jest właśnie pewnego rodzaju harmonią, to jasna rzecz, że jeśli napięcie naszego ciała osłabnie poniżej pewnej miary lub się nadmiernie zwiększy pod wpływem chorób czy innych nieszczęść, dusza musi natychmiast ginąć, chociaż jest najbardziej boska; podobnie jak i inne harmonie między dźwiękami czy w jakichkolwiek dziełach rąk ludzkich zawarte - tylko szczątki ciała w każdym wypadku trwają, póki nie spłoną lub nie zgniją. Otóż zobacz, na taką myśl co powiemy, jeżeliby ktoś uważał, że dusza jest mieszaniną tego, co się w ciele dzieje, i pierwsza ginie w chwili tak zwanej śmierci? Zrobił wielkie oczy Sokrates, jak on to nieraz miał zwyczaj, uśmiechnął się i: Słusznie mówi Simiasz, doprawdy - powiada. - Więc jeżeli ktoś z was jest teraz w mniejszym kłopotcie niż ja, czemu nie odpowiada? Zdaje się, że on się nieźle wziął do tej rzeczy. Ale myślę, że przed odpowiedzią potrzeba najpierw Kebesa posłuchać, co znowu on tym wywodom zarzuca, abym się tymczasem zastanowił, co

mam na to powiedzieć. Jak wysłucham, to albo się zgodzę z nimi, jeżeli usłyszę, że śpiewają w tonie, a jeśli nie, to już będę bronił swojej myśli. Więc powiedz no, Kebesie, co ciebie znowu tak w tym zaniepokoiło, że ci uwierzyć trudno?

- Już mówię - powiedział Kebes. - Mnie się zdaje, że cały dowód nie ruszył w ogóle z miejsca i jest w nim błąd ten sam, o którymśmy przedtem mówili. Bo że istniała nasza dusza, także i zanim w tę teraz postać weszła, to nie zaprzeczam, to zostało wykazane bardzo zgrabnie i jeśli to nie arogancja, to powiedziałbym, że zupełnie wystarczająco. Ale że i po naszej śmierci jeszcze gdzieś tam będzie, to mi się nie wydaje rzeczą dowiedzioną. Ja się nie zgadzam z uwagą Simiasza, że dusza nie jest mocniejsza i trwalsza od ciała. Owszem, wydaje mi się, że ona się bardzo mocno różni od nich wszystkich. Więc czemuż jeszcze nie wierzysz, mógłbyś powiedzieć ten wywód, skoro widzisz przecież, że po śmierci człowieka zostaje jeszcze z niego to, co słabsze; a nie wydaje ci się konieczne, żeby to, co trwalsze, miało bez szkody przetrwać tę chwilę?

No przeciw temu powiem - rozważ, czy słusznie; bo pewnego obrazu będę i ja, zdaje się, potrzebował, tak jak i Simiasz. Mnie się ten cały wywód tak przedstawia, jakby na przykład po śmierci starego tkacza ktoś tak samo mówił, że nie umarł ten człowiek, tylko na pewno jeszcze gdzieś jest, a na dowód pokazywałby płaszcz, który nieboszczyk nosił i sam go był utkał, że oto jeszcze cały i nie przestał istnieć. A gdyby mu ktoś nie wierzył, on by go wtedy pytał, co jest trwalsze: gatunek człowieka czy gatunek płaszcza, będącego w użyciu, noszonego. Gdyby zaś ktoś odpowiedział, że bez porównania trwalszy jest gatunek człowieka, on by uważał za rzecz dowiedzioną, że z największą pewnością ten człowiek przecież będzie zdrow i cały, skoro nie przestało z niego istnieć to, co przecież trwa krócej niż człowiek. A to wcale tak nie jest, Simiaszu. Bo rozważ i ty to, co mówię. Przecież każdy chyba przyzna, że naiwnie się odzywa ktoś, kto tak mówi.

Bo ten tkacz, który zdarł dużo takich płaszców i dużo ich był utkał, zeszedł ze świata później niż owe płaszcze, których było wiele, ale przecież, myślę, że zeszedł prędzej niż jego płaszcz ostatni. Niemniej jednak człowiek z tego powodu nie jest wcale czymś lichszym niżli płaszcz ani słabszym.

Otóż ten właśnie obraz dotyczy także stosunku ciała do duszy. I gdyby ktoś to samo mówił o ciele i duszy, mówiłby, moim zdaniem, właśnie tak jak trzeba: że dusza jest trwalsza, a ciało od niej słabsze i mniej trwałe. A tylko, powiedziałby, każda z dusz zużywa wiele ciał; szcze- gólniej, jeżeliby żyła wiele lat. Jeżeliby ciało było jak rzeka, która płynie, i ginęło wciąż, jeszcze za życia człowieka, a dusza by ustawicznie, jak cichy tkacz, dorabiała to, co ulegnie zużyciu, to oczywista rzecz przecież, że kiedy by dusza schodziła ze świata, musiałaby mieć na sobie swą ostatnią tkaninę i ginąć prędzej niż ta jedna właśnie. A po zejściu duszy, dopiero wtedy dato zaczęłoby objawiać naturę słabości i gnijąc w krótkim czasie rozpadłoby się na nic.

Zatem jeszcze nie sposób uwierzyć tamtym wywodom i być dobrej myśli, że kiedy pomrzemy, jeszcze gdzieś tam będzie istniała nasza dusza. Gdyby ktoś nawet i więcej, niż ty teraz, ustąpił temu, co tak mówi i przyznał mu, że dusze nasze nie tylko istniały w czasie, kiedyśmy jeszcze nie byli na świat przyszli, ale nic nie przeszkadza, żeby i po naszej śmierci dusza niejednego z nas istniała i miała istnieć dalej i nie jeden raz się rodzić i umierać znowu; bo to jest coś tak mocnego z natury, że i te częste narodziny dusza przetrzyma; więc gdyby mu to przyjąć pozwolił, nigdy by się mimo to nie zgodził, że się dusza w tych częstych narodzinach nie marnuje i nie przestaje w ogóle istnieć, kiedy umiera w jednym z wielu skonów. A który to skon i które rozłączenie z ciałem duszy zgubę przynosi, tego, powiedziałby, nikt z nas nie wie. Bo nikt z nas nie może tego spostrzeć.

A jeśli tak się rzeczy mają, to ktokolwiek spokojnie śmierci w oczy spogląda, ten niewątpliwie brakiem rozumu dobrą myśl okupuje, jeśli nie potrafi wykazać, że dusza jest w ogóle nieśmiertelna i żadnej nie podlega zgubie.

W przeciwnym razie będzie się każdy umierający musiał bać o własną duszę, żeby właśnie w tym teraz odłączeniu się od ciała nie przepadła ze szczętem. Otóż nam wszystkim, kiedyśmy ich obu wysłuchali, zrobiło się nieprzyjemnie, jakeśmy to sobie potem opowiadali. Bo nas poprzednie wywody były silnie przekonały, a tutaj ci dwaj jakby nam nowe rozgrzebali wątpliwości i podkopali wiarę nie tylko w wywody poprzednie, ale i w to, co później miało być powiedziane; nie wiadomo było, czy to my może jesteśmy takimi sędziami do niczego, czy może i sprawa sama tego rodzaju, że tam wierzyć nie ma w co.

ECHEKRATES. Na bogów, Fedonie, ja wam to wybaczam całkowicie. Bo przecież i mnie samego teraz, kiedym ciebie usłyszał, takie jakieś myśli nachodzą i tak sam do siebie mówię: No, jakimuż w końcu dowodowi mamy uwierzyć, skoro ten taki bardzo przekonujący, który był wypowiedział Sokrates, teraz upada i nie można mu wierzyć. To dziwna rzecz, jak mnie ta myśl pociąga i teraz, i zawsze: to, że

harmonią pewną naszej osoby jest dusza; i kiedy to słowo padło, wtedy jakby mi się przypomniało, że i ja sam dawniej już byłem tego zdania. A teraz mi znowu bardzo potrzeba, jak na samym początku, innego jakiegoś dowodu, który mnie przekona, że dusza nie umiera wraz z ciałem w chwili śmierci. Więc powiedz, na Zeusa, którądy Sokrates poprowadził rozmowę. Czy i po nim, tak jak mówisz, że po was, znać było, że mu nieprzyjemnie, czy nie, tylko łagodnie podpierał swoją myśl dalej, i czy ją podbudował mocno, czy niedostatecznie? Wszystko nam po kolei opowiedz, jak tylko potrafisz, jasno i dokładnie.

FEDON. Wiesz, tak, Echekratesie: ja nieraz podziwiałem Sokratesa, a nigdy mi on nie był taki kochany jak wtedy, kiedy tam był przy nim. Bo to, że on zawsze miał co odpowiedzieć, to może nic nadzwyczajnego. Ale ja przynajmniej najwięcej podziwiałem u niego naprzód to, jak on chętnie, jak życzliwie, jak sympatycznie podejmował myśli młodych ludzi, potem jak on nadzwyczajnie szybko odczuwał, co się w nas działo na tle tych myśli, a w końcu, jak nas doskonale wyleczył i jakby rozsypanych w ucieczce i pobitych na powrót pod swoją komendę zwołał i zachęcił do tego, żeby w jego ślady dalej razem iść za biegiem myśli.

ECHEKRATES. Jakże to więc?

FEDON. Ja powiem. Bo właśnie siedziałem po jego prawej stronie obok łóżka, na jakimś stołku, a on miał stołek znacznie wyższy od mego; otóż pogłaskał mnie po głowie i zebrał w garść moje włosy na karku - nieraz, bywało, miał zwyczaj bawić się moimi włosami:

- Więc to jutro - powiada - Fedonie, gotówes sobie dać ostrzyć te piękne włosy.

- Zdaje się, że tak, Sokratesie - powiedziałem.

- Nie! jeżelibyś tylko mnie posłuchał.

- Albo co? - powiedziałem.

- Dzisiaj, mówi, i ja swoje, i ty ostrzyżesz te, tutaj; jeżeli nam myśl nasza zemrze i nie potrafimy jej wskrzesić. A ja, gdybym był tobą i tak by mi dowód uciekł, tobym sobie poprzysiągł, jak obywatele Argos, że nie prędzej włosy zapuszczę, aż na nowo stanę do walki i pobiję myśli Simiasza i Kebesa.

- Ej - powiadam ja na to - dwom naraz, mówią, że i Herakles nie da rady.

- A to i mnie - mówi - jak Jolaos wołaj na pomoc, póki jeszcze jasno na dworze.

- Toż ci wołam - powiedziałem - nie jak Herakles, tylko jak Jolaos Heraklesa.

- Na jedno wyjdzie - powiada.

- Tylko się strzeżmy pewnego stanu, aby nas nie spotkał.

- Jaki stan? - zapytałem.

- Abyśmy się nie zrazili do myśli, tak jak się mizantrop zraża do świata i ludzi. Bo nie ma

- powiada - większego nieszczęścia, jakie by mogło człowieka spotkać, niż to, jeżeli się ktoś do myśli zrazi. A jedno i drugie powstaje w ten sam sposób: i mizologia, i mizantropia. Mizantropia stąd wyrasta, że ktoś bardzo mocno w pewnego człowieka wierzy, a nie ma do tego racjonalnej podstawy, i myśli, że ten człowiek jest pod każdym względem prawdomówny i nie zepsuty,

i zaufania godny, a potem się niezadługo przekona, że to człowiek zły i fałszywy; a potem znowu drugi mu się taki sam trafi. Jeżeli to kogoś często spotyka, a najbardziej ze strony tych, których mógł uważać za swych najbliższych i najserdeczniejszych, to w końcu człowiek, nabiwszy sobie tyle guzów, nienawidzić zaczyna wszystkich i myśli, że w ogóle w żadnym człowieku ziarna zdrowego nie znajdzie. Nie zauważyłeś, że to się tak jakoś robi?

- Owszem, tak - odpowiedziałem.

- Nieprawdaż - mówi - to nieładnie? I czy nie jasna rzecz, że taki człowiek bierze się do ludzi, a nie opanował umiejętności dotyczącej spraw ludzkich? Toż jeśliby się do nich brał umiejętnie, myślałby tak, jak jest naprawdę: że dobrych ludzi i ludzi złych jest ogromnie mało; i jednych, i drugich; a tych pośrednich najwięcej.

- Jak to myślisz? - zapytałem.

- To tak samo jak z ludźmi bardzo słusznymi i bardzo niskimi. Czyż sądzisz, że jest coś rzadszego niż wyszukać bardzo dużego albo bardzo małego człowieka czy psa, czy cośkolwiek innego? Albo tak samo: szybkiego czy powolnego, szpetnego czy pięknego, białego czy czarnego? Czy nie zauważyłeś, że we wszystkich takich rzeczach ostateczności, wypadki krańcowe są rzadkie i mało ich jest, a wypadki pośrednie częste i liczne?

- Owszem, tak - powiedziałem.

- Czy nie sądzisz - powiada - że gdyby urządzić konkurs złości ludzkiej, to i tam bardzo nieliczni ludzie okazaliby się pierwszymi?

- Prawdopodobnie tak - rzekłem.

- Prawdopodobnie przecież - powiedział.

- Ale pod tym względem myśli nie są podobne do ludzi - teraz przecież ty prowadzisz- dyskusję, a ja tylko tak za tobą zalałem - tylko pod tamtym: że jeśli ktoś uwierzy w prawdziwość pewnej myśli, a nie ma do tego podstawy w umiejętności, która dotyczy myśli, i potem mu się niezadługo ta sama myśl wyda fałszywą - raz słusznie, raz niesłusznie, i raz ta, a raz inna - wtedy już całkiem, tak jak ci, którzy się antynomiami bawią, wiesz, że się w końcu uważają za najmądrzejszych, zdaje im się, że oni sami jedni tylko dojrżeli, że ani w tym, co się dzieje, ani w dowodach ludzkich nie ma nic zdrowego i mocnego, tylko wszystko, co istnieje, to po prostu tak jak woda w cieśninie Eurypu, kręci się w górę i w dół i ani chwili na żadnym punkcie nie trwa stale.

- Bardzo słusznie mówisz - powiedziałem.

- Nieprawdaż więc, Fedonie - powiada - że oplakany byłby to stan, gdyby ktoś, mimo że istnieje przecież jakaś myśl prawdziwa i mocna, i dla umysłu dostępna, ale on dlatego, że wpadł na takie jakieś dowody, które się raz wydają prawdziwe, a raz nie, potem by nie sobie samemu winę przypisywał ani swój brak umiejętności ganił, tylko by, z bólu niejako, winę z siebie samego na wszelkie dowody zwał i już by potem całe życia dowodów nienawidził i przeklinał je, i był pozbawiony prawdy i wiedzy o tym, co istnieje?

- Na Zeusa - powiedziałem - to przecież stan oplakany.

- Więc naprzód - powiada - tego się wystrzegajmy i obwarujmy duszę przed tym, jakoby w ogóle nie istniały dowody zdrowe i mocne, ale pomyślimy raczej, że to my jeszcześmy do zdrowia nie doszli. Ale trzeba być mężczyzną przecież i trzeba sobie powiedzieć: będę zdrow; ty i wy wszyscy dlatego, że macie jeszcze całe życie przed sobą; ja dlatego, że mnie właśnie śmierć czeka.

Tymczasem w tej chwili odnoszę się do tej kwestii bodajże nie tak jak filozof, tylko raczej jak człowiek bez żadnej kultury, który się spierać lubi. Tacy ludzie, kiedy się spierają o cokolwiek, mało się troszczą o to, jak się ma rzecz sama, o którą idzie w dyskusji, a tylko o to dbają, żeby i drudzy byli tego zdania, które oni założyli w rozmowie. Ja mam wrażenie w tej chwili, że i ja sam tym tylko się od nich różnić będę, że nie tyle o to będę dbał, aby drudzy, tu obecni, uważali za prawdę to, co powiem, chyba żeby się to ubocznie zdarzyło, ile raczej o to, żebym ja sam jak najbardziej był tego zdania. Bo liczę sobie tak, przyjacielu miły - zobacz, jaki jestem wyrachowany: Jeżeli jest przypadkiem prawdą to, co mówię, to ładnie jest być o tym przekonanym. A jeżeli nic nie ma po śmierci, to przynajmniej przez ten czas, teraz przed śmiercią, mniej się będę uprzykrzał towarzystwu skargami. A ta moja pomyłka nie będzie trwała dalej razem ze mną - to byłoby źle - tylko niedługo potem zginie. Otóż ja tak uzbrojony

- powiada - zabieram się do dowodu, Simiaszu i Kebesie, a wy, jeśli mnie posłuchacie, mato się będziecie troszczyli o Sokratesa, a o prawdę więcej znacznie, i jeśli się wam wyda, że prawdę powiem tu lub tam, zgódźcie się ze mną. A jeśli nie, to ciągnijcie w drugą stronę ze wszystkich sił; uważajcie, żebym z wielkiego zapału i siebie samego, i was w błąd nie wprowadził, i jak ta pszczoła nie zostawił żądła, a sam odleciał w świat.

- Więc chodźmy - powiada. - Naprzód mi przypomnijcie, coście mówili, gdyby się okazało, że nie pamiętam. Otóż Simiasz, zdaje mi się, nie wierzy i boi się, żeby dusza, chociaż jest bardziej boska i piękniejsza od ciała, nie ginęła prędzej od niego, jako że ma postać harmonii. A Kebes, miałem wrażenie, zgadza się ze mną na to, że dusza jest trwalsza od ciała, a tylko to jest sprawa zgoła niejasna, czy aby dusza wielu ciał często nie zużywa, a gdy ostatecznie ciało opuści, wtenczas i sama ginie; i śmierć to może właśnie to: zguba duszy; bo ciało i tak bez ustanku i wciąż umiera. Czy coś innego, czy to właśnie, Simiaszu i Kebesie, wypada nam rozważyć?

Zgodzili się obaj, że to.

- Więc czy nie przyjmujecie - powiada - żadnej myśli poprzedniej, czy też jedne tak, a drugich nie?

- Jedne tak - odpowiedzieli - a drugich nie.

- A cóż mówicie - powiada - o tym twierdzeniu, że jakieśmy to mówili, nauka jest przypominaniem sobie, a skoro tak, to koniecznie musiała gdzieś indziej być nasza dusza, zanim w ciało nasze weszła?

- Ja - powiada Kebes - już i wtedy nadzwyczajnie głęboko zostałem przekonany i teraz zostaję przy tym twierdzeniu silniej niż przy którymkolwiek.

- O, tak - powiedział Simiasz - a ja tak samo i bardzo bym się dziwił, gdybym właśnie na tym punkcie miał jeszcze kiedyś zmienić zdanie.

A Sokrates: Koniecznie ci - powiada - gościu z Teb, wypadnie zmienić zdanie, jeśli się utrzyma ta myśl, że harmonia jest czymś złożonym, a dusza, jako harmonia, składa się z tego, co napięte w ciele. Bo chyba nie podejmujesz się bronić tej tezy, że naprzód istniała harmonia, rzecz złożona, zanim zaczęto istnieć to, z czego się ona miała składać. Czy też podejmiesz się?

- Nigdy - powiada - Sokratesie.

- Więc widzisz - powiada tamten - co ci twierdzić wypada, kiedy mówisz, że dusza istniała, zanim jeszcze weszła w postać i ciało człowieka, a tymczasem ona jest złożona z czegoś, co wtedy jeszcze wcale nie istniało? Przecież naprawdę harmonia wcale nie jest taka, jak mówisz w swoim porównaniu, tylko naprzód powstaje lira i struny, i dźwięki jeszcze nie zestrojone, a dopiero na samym końcu układa się harmonia i ona pierwsza ginie. Więc to twoje twierdzenie z tamtym jakże się zgodzi?

- W żaden sposób - powiedział Simiasz.

- Tak jest - mówi tamten - a wypada, żeby jeśli jakiegokolwiek twierdzenia mają się zgadzać, to przede wszystkim te o harmonii.

- Wypada - mówi Simiasz.

- To ci - powiada - nie brzmi zgodnie; więc zobacz, które z dwóch twierdzeń wybierasz. To, że nauka jest przypominaniem sobie, czy to, że dusza jest harmonią?

- Stanowczo raczej to pierwsze, Sokratesie. Bo to drugie przyjąłem bez dowodu, na podstawie powierzchownej oczywistości i tak, z wejrzenia, skąd się przeważnie biorą pospolite mniemania ludzkie - ale ja sobie zdaję sprawę z tego, że takie twierdzenia, dowiedzione z pomocą powierzchownej potocznej oczywistości, to błaga wszystko i jeśli ktoś na nie dobrze nie uważa, nadzwyczaj łatwo wprowadzają człowieka w błąd i w geometrii, i we wszystkich innych dziedzinach. A to twierdzenie o przypominaniu sobie i nauce ma być oparte na godnym założeniu. Bo mówiło się jakoś tak, że nasza dusza istniała, zanim jeszcze weszła w dało, jako iż jej przysługuje istota, która imię bierze od tego, co istnieje. Tę zasadę ja przyjmuję - jestem przekonany - na dostatecznych i słusznych podstawach. Wobec tego oczywiście widzę, że ani ja sam nie mogę przyjmować, ani drugiemu przyznać, że dusza jest harmonią.

- No, a cóż z tym - powiada - Simiaszu? Czy wydaje ci się, że harmonia albo inna jakakolwiek synteza może się zachowywać inaczej jakoś, niż się zachowują jej składniki?

- Nigdy.

- Ani działać, sądzę, inaczej, ani doznawać czegokolwiek poza tym, co działają i czego doznają składniki. Zgodził się.

- Więc nie może harmonia rządzić tym, z czego się składa, tylko musi iść za tym. Był tego samego zdania.

- Więc daleko do tego, żeby się harmonia miała w przeciwnym kierunku ruszać albo brzmieć, albo pod jakimś innym względem przeciwieć się swoim częściom?

- Bardzo daleko - powiada.

- No cóż, a czy nie taka bywa harmonia, czyli zestrój każdy, jak który zostanie zestrojony?

- Nie rozumiem - powiada.

- Czy nie tak jest - mówi tamten - że jeśli się bardziej składniki zestroją i lepiej, jeżeli się to stać może, to ona będzie bardziej harmonią i w wyższym stopniu, a jeśli mniej i gorzej, to i ona mniej będzie harmonią i będzie nią w niższym stopniu?

- Tak jest.

- Więc czy tak ma się rzecz z duszą, że chociażby o jakąś odrobinę jedną jest więcej i bardziej albo mniej i nie tak bardzo duszą jak druga?

- Ani trochę - powiada.

- Więc proszę cię - mówi - na Zeusa; mówi się, że jedna dusza ma rozum i dzielność i jest dobra, a druga nierozum i złość i jest zła? I to się mówi słusznie?

- Słusznie, doprawdy.

- Otóż ci, którzy przyjmują, że dusza jest harmonią, za co d będą uważali te rzeczy będące w duszach: tę dzielność i złość? Czy znowu za jakąś inną harmonię i jej brak? I o dzielnej duszy powiedzą, że jest zestrojona dobrze i będąc sama harmonią, ma w sobie harmonię drugą, a ta druga jest nie zestrojona i nie ma w sobie harmonii innej?

- Nie umiem - mówi Simiasz - odpowiedzieć. Ale zapewne, że coś takiego mówiłby ten, który by tamte rzeczy założył.

- Ale zgodziliśmy się przedtem - powiada - że ani o cokolwiek więcej, ani mniej nie jest jedna z nich duszą aniżeli druga. A to znaczy, że ani więcej, ani bardziej, ani mniej, ani nie tak bardzo nie może jedna z nich być harmonią jak druga. Nie tak?

- Tak jest.

- A która ani trochę bardziej, ani mniej nie jest harmonią, ta również ani bardziej, ani mniej nie może być zestrojona. Jest tak?

- Jest.

- A ta, która nie jest ani więcej, ani mniej zestrojona, to dlatego, że więcej czy mniej ma harmonii w sobie, czy też równo?

- Równo.

- Nieprawdaż, skoro jedna dusza nie jest ani więcej, ani mniej duszą niż inna, tylko jest tym samym co druga: duszą, to nie jest też ani bardziej, ani mniej zestrojona?

- Tak.

- A w takim razie ani dysharmonii nie ma w sobie więcej, ani harmonii?

- No, nie.

- A jeżeli tak, to czy nie może jedna mieć w sobie coś więcej złości lub dzielności niż druga, skoro złość to dysharmonia, a dzielność to zestrój wewnętrzny?

- Wcale nie więcej.

- A może raczej tak, Simiaszu, wedle tego, co słuszne: złości żadna dusza nie będzie miała w sobie, skoro każda jest harmonią. Będąc harmonią właśnie samą, nie będzie mogła nigdy mieć w sobie dysharmonii.

- Nie, z pewnością.

- Ani chyba dusza, będąca ze wszech miar duszą, nie pomieści w sobie złości?

- Ano jakże - przynajmniej wedle tego, co się poprzednio powiedziało.

- Więc z tego stanowiska będziemy wszystkie dusze wszystkich żywych istot uważali za równie dobre, skoro wszystkie zarówno są duszami - czymś jednym i tym samym.

- Mnie się przynajmniej tak wydaje, Sokratesie.

- Ale czy ci się i to wydaje - powiada tamten - że to dobrze powiedziane i na dobre drogi schodzi myśl, jeżeli tamto założenie było słuszne: że dusza jest harmonią?

- Ani trochę - powiada.

- Więc cóż - mówi tamten - z tych wszystkich rzeczy, które w człowieku są, czy możesz powiedzieć, żeby panowała któraś inna, a nie dusza; w szczególności dusza rozumna?

- No nie.

- A panuje ustępując stanom cielesnym, czy też i sprzeciwiając się im? Ja mam to na przykład na myśli: kiedy upał jest w ciele i pragnienie, ona ciągnie w stronę przeciwną, żeby nie pić, a kiedy głód wewnątrz, aby nie jeść, i na innych niezliczonych punktach widzimy, jak się dusza przeciwstawia temu, co w ciele. Czy nie?

- Ależ tak, i owszem.

- A nieprawdaż, zgodziliśmy się przedtem, że ona będąc przeciw harmonii nigdy nie potrafi brzmieć wbrew temu, jak tam to czy owo zostanie w ciele napięte czy zwolnione, czy potracone, czy jakiegokolwiek innego stanu dozna to, z czego ona się składa; na musi zawsze iść za tym, a nigdy władać tym nie potrafi?

- Zgodziliśmy się - powiada. - Jakżeby nie.

- Więc cóż? Czyż nie widzimy teraz, że ona robi coś wprost przeciwnego: ona włada tamtym wszystkim, z czego, twierdzi ktoś, ma się sama składać, i przeciwstawia się tym rzeczom bez mała na każdym kroku i przez całe życie, i opanowuje je na wszelkie sposoby: jedne z nich poskramiając gwałtem aż do bólu - z pomocą gimnastyki i sztuki lekarskiej, a z innymi się łagodniej obchodząc; jednym grozi, inne hańbi, i do żądz, gniewów i obaw mówi tak jak obca do czegoś, co jest od niej różne. Jak to tam i Homer w Odysei śpiewał, gdzie o Odyseuszu mówi:

W pierś walił pięścią i serce słowy ofuknął mocnymi:

Strzymajże, serce, i to; już gorsze znosił terminy.

Czy sądzisz, że on to powiedział w tym przekonaniu, że dusza jest harmonią i musi biernie iść za

stanami ciała, a nie potrafi ich pociągać za sobą i panować nad nimi, jako że jest czymś o wiele bardziej boskim niż harmonia?

- Na Zeusa, Sokratesie, tak się i mnie wydaje.

- Więc, mój drogi, może nam nigdy nie należy mówić, że dusza jest jakąś harmonią. Bo zdaje się, że wtedy anibyśmy się z Homerem nie zgodzili, boskim poetą, ani nawet sami z sobą.

Przyznał, że tak jest.

- No, to by już było - powiedział Sokrates - z tą Harmonią, co króluje w Tebach, jesteśmy już jakoś na lepszej stopie; zdaje się, że łaskawsza na nas - w sam raz, jak potrzeba. Ale co będzie z Kadmosem - powiada - Kebesie, jak my sobie jego łaskę pozyskamy i jakim dowodem?

- Zdaje się, że ty już znajdziesz sposób - powiedział Kebes. - Przecież ten dowód przeciwko harmonii nadzwyczajnie powiedziałeś - to wprost niespodzianka dla mnie. Kiedy Simiasz mówił, kiedy swoje wątpliwości rozwijał, wydawało mi się wprost nieprawdopodobne, żeby sobie ktoś mógł dać radę z jego stanowiskiem. Więc to mi zupełnie nadzwyczajnie wyglądało, kiedy nie wytrzymał zaraz pierwszego natarcia twoich słów. Zupełnie bym się nie dziwił, gdyby ten sam los spotkał i myśli Kadmosa.

- Mój drogi - powiada Sokrates - nie mów wielkich słów, aby się nam za karę - los bywa złośliwy - nie przewróciło to, co mamy powiedzieć. Ale to tam w ręku boga zostanie, a my tak, po homerycku, bliżej podejźmy pod mury i zobaczymy, może ty jednak coś twierdzisz. A główna treść tego, o co ci chodzi, taka jest. Potrzeba ci dowodu na to, że dusza nasza jest niezniszczalna i nieśmiertelna, zaczem, jeśli człowiek oddany filozofii w obliczu śmierci jest dobrej myśli i sądzi, że po zgonie będzie tam osobiście szczęśliwy, raczej niż gdyby był innego jakiegoś żywota dokonał, to jego dobra myśl i otucha nie z bezmyślności płynie ani z naiwności. A wykazywanie, że dusza jest czymś mocnym i boskiej natury i że istniała jeszcze przedtem, jeszcze zanim myśmy jako ludzie na świat przyszli, to, powiadasz, wcale nie przeszkadza i wcale to wszystko nie świadczy o nieśmiertelności, tylko o tym, że dusza jest czymś długotrwałym i że gdzieś tam istniała przedtem, nie wiadomo jak długi czas, i wiedziała wiele rzeczy, i robiła; ale wcale jeszcze nie była przez to czymś nieśmiertelnym; samo wejście w ciało człowieka było dla niej początkiem końca - niby choroba - dręczy się w tym życiu tutaj i poniewiera, żyje niby i kończąc życie w chwili tak zwanej śmierci, ginie może ze szczętem. I to nie stanowi żadnej różnicy, powiadasz, czy ona raz w ciało wstępuje, czy więcej razy, jeśli chodzi o to, czego się każdy z nas boi. Bo wypada się bać, jeśli ktoś nie jest z rozumu obrany, a nie wie i nie potrafi dowieść, że ona jest nieśmiertelna. Sądzę, że coś w tym rodzaju masz na myśli, Kebesie. Umyślnie po kilka razy powtarzam, abyśmy czegoś nie przeoczyli; jeśli chcesz, to może coś dodasz albo ujmiesz.

A Kebes powiada: Nie, w tej chwili nic ani odjąć, ani dodać nie mam potrzeby. To właśnie jest moje stanowisko.

Otóż Sokrates zastanowił się przez czas dłuższy i coś sobie we wnętrzu rozważywszy: Ty nie byle jaką kwestię poruszasz, Kebesie - powiada. - Bo trzeba w ogóle przedyskutować sprawę powstawania i zatury. No, ja ci opowiem na ten temat, jeżeli chcesz, moje osobiste doświadczenia. Potem, a jeżeli ci się coś z tego, co opowiem, wyda przydatne do wyrobienia sobie zdania w kwestii, którą poruszasz, to weź i używaj.

- Owszem - powiada Kebes - proszę bardzo.

- Więc posłuchaj, ja powiem. Bo ja, wiesz, Kebesie, za moich młodych lat szalone miałem pożądanie tej wiedzy, którą się nazywa: historia naturalna albo nauki przyrodnicze. Nadzwyczajne mi się to wydawało: znać przyczyny wszystkiego: dlaczego powstaje wszystko i czemu istnieć przestaje, i przez co istnieje. I nierazem sobie głowę łamał, zastanawiając się naprzód, ot, choćby nad tym, czy jeśli ciepło i zimno zgniłość jakąś zachwyci, jak mówili niektórzy, to wtedy żywe istoty z tego wyrastają? I czy to krew jest tym, z pomocą czego myślimy, czy powietrze, czy ogień, czy też żadne z tych, tylko to mózg dostarcza nam wrażeń słyszenia i widzenia, i wachania, a z nich powstawać ma pamięć i mniemanie, a z pamięci i mniemanie, kiedy się ustoi, tak samo robi się wiedza.

I znowu, zastanawiając się nad tym, jak te rzeczy nieraz istnieć przestają i co się na niebie dzieje i na ziemi, w końcu taki się wydałem samemu sobie do tych badań nieudolny, jak tylko być może. Świadectwo ci podam wystarczające. Przedtem to niejedno wiedziałem jasno, tak się przynajmniej mnie samemu zdawało i drugim,

a wtedy od tych rozważań wszystkich tak mnie zaślepiło gwałtownie, że przestałem wiedzieć i to, co mi się przedtem zdawało, że wiem, to o różnych rzeczach, a między innymi i o tym, przez co to człowiek rośnie. To, zdawało mi się przedtem, dla każdego jest jasne, że przez jedzenie i picie. Bo skoro z pokarmów do mięsa przybędzie mięsa, a kościom przybędzie kości i tak samo tym innym przybędzie każdemu tego, co mu pokrewne, wtedy kupka, zrazu mała, zrobi się z czasem duża i tak się mały człowiek robi wielkim. Tak mi się wtedy zdawało. No, co myślisz - nie w sam raz?

- Owszem, jeżeli o mnie chodzi - powiada Kebes.

- Weźże no i to jeszcze pod uwagę. Ja myślałem, że mi się dość słusznie zdaje, kiedy wysoki człowiek stanął obok małego i wydawał się od niego większy, a ja myślałem, że on go przewyższa właśnie głową, albo koń jeden drugiego. A jeszcze jaśniejszy przykład niż te: dziesiątka mi się wydawała większa od ósemki przez to, że się dwójka do niej dołącza, a coś, co ma dwa łokcie, większe od tego, co ma łokieć, przez to, że całą połową sterczy dalej niż tamto.

- No, a teraz - powiada Kebes - co myślisz o tych rzeczach?

- Daleki jestem - powiada - na Zeusa, od mniemania, żebym znał przyczyny tego wszystkiego; ja nawet tego nie jestem pewny, czy kiedy ktoś do jednego doda jeden, wtedy się z tego jednego, do którego dodano, robi dwa, czy też ten dodany i ten, do którego dodano, przez to złożenie razem jednego do drugiego stają się dwa. No, bo dziwię się: jak to, póki każdy z nich był z osobna, oddzielony jeden od drugiego, wtedy każdy był jeden i wtedy ich nie było dwa; a skoro się zbliżyli do siebie - to może to się stało przyczyną, że się ich zrobiło dwa; może to zbliżenie, to, że się tak blisko siebie znaleźli. Ani w to uwierzyć nie umiem, że gdy jednostkę przeciąć, wtedy właśnie to przecięcie staje się przyczyną powstawania dwóch. Bo wtedy zachodzi wprost przeciwna pierwszej przyczyna powstawania dwójki. W pierwszym wypadku to dlatego, że się jedno zbliżało do drugiego i kładło jedno tuż przy drugim, a teraz znowu dlatego, że się oddala i oddziela jedno od drugiego. Ja już nawet i tego nie wmawiam w siebie, żebym wiedział, dlaczego się robi jeden albo cokolwiek innego; w ogóle dlaczego cokolwiek się staje albo przestaje istnieć, albo jest - wedle takiego sposobu rozważania; ja też sobie inny sposób przyrzędam, jak mi się uda, ale go w żadnym sposobie nie zachwalam. Usłyszałem raz, jak ktoś z jednej książki czytał - mówił, że to z Anaksagorasa - i powiadał, że to rozum jest tym, co do porządku doprowadza wszystko i jest przyczyną wszystkiego. Ta przyczyna podobała mi się i wydawało mi się, że to jakoś tak dobrze się składa, żeby rozum był przyczyną wszystkiego. I sądziłem, że jeśli to tak jest, to właśnie rozum, pięknie porządkujący, porządkuje wszystko i wszystko tak układa, jak może być najlepiej. Więc gdyby ktoś chciał wykryć przyczynę czegokolwiek, jak ono powstaje albo ginie, albo istnieje, ten powinien się dowiedzieć, jak właściwie temu lub owemu najlepiej istnieć czy czegoś innego doznawać, czy działać. Wobec tego, niczego innego nie wypada szukać człowiekowi w tym, co jego samego dotyczy albo dotyczy czegoś innego, jak tylko tego, co jest najlepsze, najdoskonalsze. Koniecznie ten sam człowiek musi znać i to, co gorsze. Bo przecież jedna i ta sama wiedza dotyczy jednego i drugiego.

Otóż tak sobie rachowałem i cieszyłem się, myśląc, że sobie znalazłem mistrza, który mnie na rozum pouczy o przyczynie wszystkiego, co jest: Anaksagorasa. On mi naprzd powie, czy ziemia jest płaska, czy kulista, a jak mi to powie, to mi jeszcze do tego wywiedzie przyczynę i konieczność; pokaże to "lepsze", powie, że lepiej było, aby się ona zrobiła taka właśnie. A jeśliby powiedział, że ona się znajduje w środku, to jeszcze mi, prócz tego, wyjaśni, że lepiej było, aby się na środku znalazła. Gdyby mi to wyjaśnił, gotów byłem nigdy już nie oglądać się za inną formą przyczyny. I naturalnie, także i o słońcu gotów byłem tego samego się dowiedzieć, i o księżycu, i o innych gwiazdach, w jakim stosunku do siebie zostają ich prędkości i obroty, i inne stany, o ile też to lepsze jest, żeby każde z nich działało tak, jak działa, i doznawało tego, czego doznaje. Ani na chwilę nie byłbym przypuszczał, żeby on naprzd twierdził, że rozum to wszystko pięknie ułożył na swoim miejscu, a potem im inną jakąś przyczynę narzucał niż ta, że oto najlepiej jest, aby one były tak, jak są. I jak będzie wskazywał przyczynę tego czy owego i wszystkiego razem, to myślałem, że zawsze w dodatku pokaże dla każdego z osobna to, co jemu najlepsze, i to, co dobre dla wszystkich razem. Nie byłbym tej nadziei oddał za żadne skarby, więc bardzo poważnie i serio chwyciłem się jego pism i zacząłem je czytać na gwałt, żeby się jak najprędzej zapoznać z tym, co najlepsze, i z tym, co najgorsze.

Wtedy, przyjacielu, ta nadzieja cudna zaczęła odlatywać coraz dalej, kiedy w dalszym ciągu czytam i widzę, że ten człowiek do niczego nic używa Rozumu ani żadnym innym przyczynom nie przypisuje porządku wszechrzeczy, tylko za przyczyny podaje wiatry i etery, i wody, i nie wiadomo co jeszcze. Zupełnie takie zrobił na mnie wrażenie, jak gdyby ktoś na przykład mówił, że Sokrates wszystko, cokolwiek robi, robi rozumem, a potem by jął z osobna podawać przyczyny wszystkiego, co robię, i mówił naprzd, że dlatego teraz tu siedzę, że moje ciało składa się z kości i ścięgien, a kości są sztywne i stawami ze sobą połączone, ścięgna zaś mogą się napinać i opadać, a obejmują kości naokoło wraz z mięsem i błoną, która je łączy. Więc ponieważ kości są zawieszane w stawach, ścięgna,

kurcząc się i opadając, pozwalają mi teraz zginać członki i dla tej to przyczyny ja tutaj zgięty siedzę. A znowu to rozważanie z wami innymi jakimiś przyczynami w tym rodzaju gotów by tłumaczyć, odwołując się do głosów i zmian w powietrzu, i wrażeń słuchowych, i niezliczonych innych tego rodzaju przyczyn,

a zapominając podać przyczyny prawdziwe, a mianowicie to, że skoro się Ateńczykom wydało lepszym skazać mnie na śmierć, to dlatego się i mnie znowu wydaje lepszym tutaj siedzieć i sprawiedliwym zostać na miejscu i ponieść karę, jaką mi wymierzili. Bo, dalipies, myślę, że dawno by te ścięgni i te kości były gdzieś w Megarze czy między Beotami, dokąd by je poniosło mniemanie o tym, co najlepsze, gdybym ja sam nie uważał za rzecz sprawiedliwszą i piękniejszą, zamiast uciekać i wyrwać, poddać się państwu i ponieść karę, którą mi wymierzono.

Więc tamtego rodzaju przyczyny podawać - bardzo niemądrze. Jeśliby ktoś powiedział, że nie mając tego wszystkiego, tych kości i ścięgien, i co tam innego mam jeszcze, nie byłbym w stanie zrobić tego, co mi się podoba, miałby słuszość. Ale powiedzieć, że ja dlatego i przez to robię to, co robię, i przez to się rozumem kieruję, a nie przez to, że wybieram to, co najlepsze, to byłaby wielka i niebываła lekkomyślność. To by znaczyło nie umieć rozróżnić, że czymś innym jest przyczyna czegoś, co istnieje, a czymś innym to, bez czego przyczyna nie mogłaby być przyczyną. Mam wrażenie, że to właśnie wielu ludzi, jakby po ciemku macając, nazywa przyczyną samą, choć ta nazwa czemuś innemu przynależy. I tak też jeden wirum nieba ziemię otacza i przez to jej stać każe, drugi ją na powietrzu podpira niby płaskie niecki na stołku. A tej siły, dzięki której wszystko to tak leży, jak najlepiej można było te rzeczy ułożyć - tej ani nie szukają, ani nie przypuszczają, żeby w tym była jakaś dziwna moc duchowa. Zdaje im się, że wynajdą na to kiedyś mocniejszego Atlasa niż ten i bardziej nieśmiertelnego, który lepiej wszystko w garści trzymać potrafi, a Dobro, które to wszystko wiązać powinno, mają za nic. A ja, żeby się o tej przyczynie uczyć, poszedłbym najchętniej na naukę do kogo bądź.

Więc kiedy mi tej przyczyny brakło i ani sam jej dojść, ani się o niej od drugiego nauczyć nie mogłem - to może chcesz, opowiem ci, jakem się to po raz drugi wybrał na wyprawę w poszukiwaniu za przyczyną, jeżeli chcesz, Kebesie?

- Ależ bardzo nawet - powiada - bardzo chcę.

- Otóż wydało mi się - powiada tamten - później, kiedym się zmęczył rozpatrywaniem rzeczywistości, żem się powinien strzec, aby mnie nie spotkało to, co się przytrafia tym, którzy słońce czasu zaćmienia oglądają i rozpatrują. Niejeden sobie przy tym oczy psuje, chyba że tylko w wodzie albo w czymś podobnym obraz słońca ogląda. Coś takiego wzięłem i ja pod rozważę i zacząłem się bać, żeby mi dusza całkiem nie oślepa, jeżeli będę na rzeczy patrzył oczyma i każdym zmysłem po kolei będę ich próbował dotykać. Więc wydało mi się, że trzeba się uciec do słów i w nich rozpatrywać prawdę tego, co istnieje. Być może, ta przenośnia moja nieco kuleje, bo ja wcale nie przyznam, żeby ten, który rzeczywistość w słowach rozpatruje, bardziej ją w obrazach oglądał niż ten, który ją w jej dziełach widzi. Więc tak; tędy ci ja poszedłem i w każdym wypadku zakładam jakieś słowo, które oceniam jako najmocniejsze, i cokolwiek mi się wyda z nim zgodne, to przyjmuję za prawdę, czy to o przyczynę chodzi, czy o cokolwiek innego, a co się nie zgadza, to biorę za nieprawdę. Ale chciałbym ci jaśniej powiedzieć, co mam na myśli, bo zdaje mi się, że w tej chwili nie wiesz, o co mi chodzi.

-Nie, na Zeusa-powiada Kebes-nie bardzo wiem.

- Widzisz - powiada - ja tak mówię, nic nowego, tylko to samo co zawsze zresztą, i w tym także wciąż miałem na myśli, com poprzednio mówił.

Bo przecież zacząłem ci tłumaczyć istotę przyczyny, jak ją sobie w myśli wypracowałem, a wracam do tego, o czym się tyle razy mówiło, i znowu od tego założenia zaczynam, że istnieje jakieś piękno samo w sobie i dobro, i wielkość, i inne takie rzeczy. Jeżeli mi to przyznasz i zgodzisz się, że one istnieją, to mam nadzieję, że na tej podstawie dojdziemy do przyczyny i dowiedzimy, że dusza jest nieśmiertelna.

- Owszem - powiedział Kebes - zupełnie, jakbym ci to przyznawał, mów dalej, co z tego.

- Ano, zobacz - powiada - co z tego wyjdzie, czy ci się tak samo wyda jak i mnie. Bo mnie się wydaje, że jeśli istnieje coś pięknego, oprócz piękna samego, to ono przez nic innego nie jest pięknem jak tylko przez to, że ma w sobie coś z owego piękna. I o wszystkim tak mówię. Takiego rodzaju przyczynę dopuszczasz?

- Dopuszczam - powiada.

- Wobec tego - mówi tamten - już nie rozumiem i nie umiem pojąć innych przyczyn, tych mądrych bardzo. Tylko jeśli mi ktoś mówił, przez co to coś jest piękne, więc na przykład przez to, że barwę ma jak ładny kwiat, albo kształt, albo coś innego w tym rodzaju, ja zgoła nie dbam o takie rzeczy, bo ja się gubię w tym wszystkim, a tylko tego jednego po prostu i nieuczenie, i może naiwnie się u siebie trzymam, że nie co innego czyni to coś pięknym jak tylko owego piękna obecność czy uczestnictwo, czy jakkolwiek się ono tam w nim zaznacza. Bo jeszcze o to się nie będę spierał, tylko tak myślę, że to przez piękno wszystkie rzeczy piękne stają się pięknymi.

Wydaje mi się, że najbezpieczniej jest tak odpowiadać i sobie samemu, i drugim; tego się trzymam i myślę, że nigdy z tym nie upadnę, tylko że to bezpiecznie tak odpowiadać i sobie, i komukolwiek innemu, że przez piękno staje się pięknym wszystko, co piękne. Czyż tobie się tak nie wydaje?

- Wydaje.

- Więc i przez wielkość to, co wielkie, a większe to, co jest większe, a przez małość jest mniejsze to, co mniejsze?

- Tak.

- Więc i ty byś się nie zgodził, gdyby ktoś mówił, że ktoś tam przewyższa drugiego głową, a inny, mniejszy, jest też przez to samo mniejszy, tylko byś się upierał przy tym, że nic innego nie mówisz jak tylko to, że cokolwiek jest od drugiego większe, to przez nic innego jak tylko przez wielkość; i dzięki temu właśnie jest większe: dzięki wielkości; a cokolwiek jest mniejsze, to przez nic innego jest mniejsze jak tylko przez małość i dzięki temu mniejsze: dzięki małości. Bo obawiałbyś się, żeby cię może przeciwna myśl nie zaskoczyła, gdybyś mówił, że to na przykład głowa sprawia większość jednego i mniejszość drugiego; naprzód ta myśl,

że jedno i to samo sprawiałoby większość większego i mniejszość mniejszego; następnie ta, że dzięki głowie, która jest mała, ten większy miałby być większy, a to by był cud prawdziwy, żeby przez coś małego ktoś był wielki. Czy też nie obawiałbyś się tego? A Kebes się uśmiechnął i powiada: - Owszem, ja tak.

- Nieprawdaż - mówi tamten - powiedzcie, że dziesiątka jest od ośmiu dwójką większa i dzięki tej przyczynie ją przewyższa, bałbyś się może; tylko że dzięki ilości i przez ilość. I tak samo, że coś, co ma dwa łokcie, połową przerasta długość łokciową, a nie wielkością? Tu przecież może ta sama obawa.

- Tak jest - powiada.

- No cóż? A kiedy się do jednego dodało jeden, czyż nie bałbyś się mówić, że to dodanie jest przyczyną powstania dwójki, tak samo jak owo rozcięcie, kiedy się go rozcięło? Czyż nie wołałbyś wielkim głosem, że nic ci nie wiadomo o tym, jak może cokolwiek powstawać inaczej niż przez wzięcie udziału w istocie sobie właściwej, w której to coś udział brać może, i na tym polu nie znasz innej jakiejś przyczyny powstawania dwóch jak uczestniczenie w dwoistości; musi w niej koniecznie zacząć uczestniczyć coś, co się ma stać dwójką; podobnie jak w jedności coś, co się ma stać jednym; a tamte rozcinania i przykładania, i inne takie figle zostaw lepiej i daj mi pokój; niech się na nie w odpowiedziach powołują mądrzejsi od ciebie. A ty, bojąc się, jak to mówią, własnego cienia i własnej niewiedzy, trzymałbyś się tego bezpiecznego stanowiska i tylko tak byś odpowiadał, jak mówię.

A gdyby ktoś na samo to stanowisko nastawał, nic byś sobie nie robił z tego i nie odpowiadałbyś prędkiej, ażbyś zobaczył, czy to, co z niego wynika, zgadza ci się jedno z drugim, czy nie; a gdybyś samo to stanowisko miał usprawiedliwić, tak samo byś je usprawiedliwiał, inne znowu założenie przyjmując, które by ci się spośród ogólniejszych najlepszym wydawało, ażbyś do jakiegoś odpowiedniego doszedł; a tylko byś nie mieszał jednego z drugim, rozprawiając o pierwszej zasadzie i o tym, co z niej wynika, jak to robią ci, którzy się antynomiami bawią, jeżelibyś chciał znaleźć coś z tego, co istnieje. Tamtym może to ani w głowie, ani im o to chodzi w ogóle. Z wielkiej mądrości umieją wszystko możliwe pomieszać i to im wcale nie psuje zadowolenia z siebie. Ale ty, jeżeli się liczysz do przyjaciół mądrości, myślę, że będziesz robił tak, jak mówię.

- Najzupełniejszą prawdę mówisz - powiedzieli równocześnie Simiasz i Kebes.

ECHEKRATES. Na Zeusa, Fedonie, to słusznie przecież. On to przecież nadzwyczajnie jasno powiedział, to wszystko - dla każdego, kto choć odrobinę ma rozumu w głowie.

FEDON. Tak jest, Echekratesie; tak się i wszystkim obecnym wydawało.

ECHEKRATES. Także i nam, nieobecnym wtedy, a teraz tylko słuchającym. Ale cóż się potem powiedziało?

FEDON. Zdaje mi się, że gdy mu to przyznano i zgodzono się, że jest czymś każda z idei, a w nich inne rzeczy udział biorą i od nich rzecz każda swoje nosi nazwanie, on potem tak zapytał: Jeżeli ty to - powiada - tak mówisz, to jeśli Simiasza nazywasz większym od Sokratesa, a mniejszym od Fedona, czy nie powiesz wtedy, że w Simiaszu jest jedno i drugie: i wielkość, i małość?

- Powiem.

- Ale zgadzasz się, że z tym Simiaszowym przewyższaniem Sokratesa to nie jest tak naprawdę, jak się słowami mówi? Bo Simiasz nie jest taki, żeby kogoś przewyższał tym, że jest Simiaszem, tylko wielkością, którą właśnie posiada; ani znowu Sokratesa nie przewyższa dlatego, że Sokrates jest Sokratesem, tylko dlatego, że Sokrates posiada małość w stosunku do jego wielkości.

- Prawda.

- Ani go przecież nie przerasta Fedon tym, że jest Fedonem, tylko tym, że Fedon posiada wielkość w stosunku do małości Simiasza.

- Jest tak.

- W ten sposób tedy Simiasz nazywa się małym i wielkim i w pośrodku jest między oboma: słuszniejszy od jednego, którego małość swoją wielkością przewyższa, drugiemu zaś wielkości przewyższającej jego własną małość użycza. - Równocześnie uśmiechnął się i powiada: Ja bodajże jeszcze tak zacznę mówić, jakbym kontrakt układał, ale to może chyba tak i jest, jak mówię.

Przytaknął.

- A mówię dlatego, że chcę, abyś był tego zdania co i ja. Bo mnie się zdaje, że nie tylko sama wielkość nigdy nie zechce być równocześnie wielka i mała, ale nawet i ta wielkość w nas nigdy małości nie znieśnie i nie zechce być przewyższaną, tylko jedno z dwójga: albo ustąpi i ucieknie, kiedy do niej podejdziesz przeciwieństwo: małość, albo za zbliżeniem się małości zginie; jeśli zaś wytrzyma i przyjmie małość, to nie zechce być czymś innym, niż była; tak jak ja, kiedy przyjął i wziął na siebie małość, jestem jeszcze taki, jak jestem: mały. Wielkość natomiast, będąc wielką, nie śmiałaby stać się małą. Tak samo i ta małość, która jest w nas, nie zechce nigdy stać się ani być wielką, ani żadne inne z przeciwieństw, będąc jeszcze tym, czym było, nie chce zostać i być czymś sobie przeciwnym, ale bądź to odchodzi, bądź też ginie, kiedy taki stan przyjdzie.

- Ze wszech miar - powiada Kebes - tak mi się rzecz przedstawia. Ktoś z obecnych, usłyszawszy to, a nie pamiętam dobrze, kto to był - powiada: Na bogów, czyżemy się poprzednio nie byli zgodzili na coś wprost przeciwnego, niż się teraz mówi, a mianowicie, że z mniejszego powstaje większe, a z większego mniejsze, i po prostu tak właśnie powstają przeciwieństwa: z przeciwieństw? A teraz, mam wrażenie, mówi się, że to się w ogóle nigdy stać nie może.

Nachylił głowę Sokrates i usłyszawszy: Oto jest mąż - powiada - doskonaleś to z pamięci powtórzył. Tylko nie bierzesz pod uwagę różnicy między tym, co się teraz mówi, i tym, co wtedy. Wtedy się mówiło, że z rzeczy przeciwnej powstaje przeciwna, a teraz mówi się, że samo przeciwieństwo samemu sobie nigdy się nie może stać przeciwne - ani to w nas, ani to w naturze. Wtedy, mój drogi, mówiliśmy o rzeczach, które posiadają coś przeciwnego, i nazywaliśmy każdą z nich jej własnym imieniem - a teraz mówimy o tym,

od czego bierze nazwę wszystko, cokolwiek nazwę nosi. I powiadamy, że z tych właśnie istot żadna nigdy nie zechce się rodzić z drugiej. - I równocześnie, spojrzawszy na Kebesa, mówi: Ale tobie chyba to nie musiało nasunąć wątpliwości - to, co tamten powiedział?

- No nie - mówi Kebes - tego też nie powiem; chociaż nie mogę rzec, żebym nie miał wątpliwości i tu, i tam.

- Więc zgodziliśmy się - mówi tamten - po prostu na to, że z przeciwieństw żadne nie może być nigdy

samemu sobie przeciwne?

- Ze wszech miar.

- A jeszcze mi się i nad tym zastanów - powiada - czy też się ze mną zgodzisz. Ciepłem coś nazywasz i zimnem?

- Tak jest.

- Czy na przykład śnieg i ogień?

- Na Zeusa, nie ja przecież.

- Tylko czymś innym niż ogień jest ciepło i czymś innym niż śnieg - zimno?

- Tak.

- A tego zdania będziesz, sądzę, że nigdy śnieg rzeczywisty nie potrafi tak, jakśmy poprzednio mówili, przyjąwszy ciepło być jeszcze dalej tym, czym był: śniegiem, i czymś ciepłym zarazem, ale za zbliżeniem się ciepła albo mu ustępować zacznie, albo istnieć przestanie?

- Tak jest.

- A ogień znowu za zbliżaniem się zimna albo mu ustąpi, albo przestanie istnieć; nigdy nie będzie śmiał przyjąć zimna i być dalej tym, czym był: ogniem i zimnem zarazem.

- Prawdę mówisz - powiada.

- Zatem jest tak w niektórych tego rodzaju wypadkach, że nie tylko sama idea zachowuje swoją nazwę na wieczny czas, ale ją zachowuje także i coś innego jeszcze, co nie jest nią samą, ale posiada jej postać, jak długo istnieje.

A może jeszcze w takich oto wypadkach będzie jaśniejsze to, co mam na myśli. "Coś nieparzystego" zawsze chyba musi zachowywać tę nazwę, którą teraz mówimy. Czy nie?

- Tak jest.

- Czy tylko "coś nieparzystego" jako byt, bo o to się pytam, czy też i coś innego, co nie jest tym samym co "coś nieparzystego", a jednak potrzeba je i tak nazywać zawsze poza jego własną nazwą, bo ono taką ma naturę, że się nigdy nie obejdzie bez "tego, co nieparzyste"? Mam na myśli to na przykład, co się dzieje z trójką i z innymi wieloma. Bo zastanów się nad trójką. Czy nie sądzisz, że należy ją zawsze nazywać i jej własnym imieniem, i dodawać jej przy tym nazwę "czegoś nieparzystego", chociaż ono nie jest tym samym co trójka? A jednak taka już jest natura i trójki, i piątki, i połowy wszystkich liczb w ogóle, że choć żadna z nich nie jest tym samym co "nieparzystość", to jednak każda z nich jest nieparzysta. A znowu dwójka i czwórka, i cała druga połowa liczb, nie będąc tym samym co parzystość, jednak ma to do siebie, że każda z tych liczb jest parzysta. Przyznajesz czy nie?

- Jakżeby nie - powiada.

- Więc zobacz - powiada - co chcę jasno powiedzieć. To mianowicie, że nie tylko tamte przeciwieństwa nie znoszą się nawzajem, ale nawet i te rzeczy, które nie będąc właściwie sobie przeciwne, mają jednak coś przeciwnego w sobie, nawet i te rzeczy, podobno, nie są gotowe przyjmować idei, która byłaby przeciwna tej, co w nich mieszka, ale za zbliżeniem się jej albo giną, albo ustępują. Czyż nie powiemy, że trójka raczej zginie, czy nie wiadomo, co się z nią stanie, zanimby wytrzymała to, żeby dalej zostać trójką, a stać się czymś parzystym?

- No tak - powiedział Kebes.

- A znowu przecież - powiada tamten - dwójka nie jest przeciwieństwem trójki.

- Pewnie, że nie.

- Więc może nie tylko idee przeciwne nie znoszą się nawzajem, ale także i niektóre inne przeciwieństwa nie mogą się znosić.
- Najzupełniejszą prawdę mówisz - powiada.
- Więc jeżeli chcesz - mówi - to spróbujmy, jeżeli potrafimy, określić, jakie by też to były te inne?
- Bardzo chętnie.
- Więc to może, Kebesie, będą takie, które w cokolwiek wstąpią, to nie tylko do tego zmuszają, żeby własną posiadało ideę, ale zawsze, prócz tego, miało jeszcze ideę czegoś przeciwnego?
- Jak mówisz?
- Tak jakśmy dopiero co mówili; bo wiesz przecież, że w cokolwiek wstąpi idea trójki, z tego nie tylko muszą być trzy, ale także będzie to zarazem nieparzyste.
- Tak jest.
- W coś takiego przecież, powiemy, idea przeciwna tej postaci, która to sprawia, nigdy wejść nie potrafi.
- No nie.
- A sprawiła to nieparzystość?
- Tak.
- A przeciwna jej jest idea "czegoś parzystego"?
- Tak.
- Więc w trójkę nie wejdzie nigdy idea czegoś parzystego?
- No nie, przecież.
- Trójka nie chwyci parzystości żadną miarą?
- Nie chwyci żadną miarą.
- Więc nieparzysta jest trójka?
- Tak.
- Otóż mówiłem, że określić potrzeba, które to rzeczy, choć nie są czemuś przeciwne, to jednak tego nie zniosą, tego przeciwieństwa; jak na przykład teraz trójka - nie jest przeciwna parzystości, a mimo to jej nie zniesie i nie weźmie na siebie, bo trójka zawsze przynosi coś przeciwnego temu, co parzyste; podobnie jak dwójka temu, co nieparzyste, i ogień temu, co zimne, i mnóstwo innych wypadków takich. Więc patrz doprawdy, czy tak rzecz określasz, że nie tylko jedno przeciwieństwo nie przyjmuje drugiego, ale i to, co mogłoby narzucać coś przeciwnego temu, do czego się zbliży, to właśnie, co coś narzuca, nie przyjmuje nigdy przeciwieństwa tego, co samo narzuca. I znowu sobie przypomnij, bo nie zaszkodzi i parę razy usłyszeć; piątka nie przyjmuje idei tego, co parzyste, ani dziesiątka tego, co nieparzyste; jest w dziesiątce podwójność; ona sama nie jest czemuś innemu przeciwna, a jednak nie przyjmie idei tego, co nieparzyste. Ani półtora i inne takie rzeczy, w których jest połówka, nie przyjmą idei całości. Ani trzecia część i wszystkie inne tego rodzaju części - jeżeli tylko dotrzymujesz mi kroku i jesteś też tego samego zdania.
- Bardzo nawet jestem tego samego zdania i dotrzymuję kroku.
- Więc drugi raz mi - powiada - mów od początku. I nie odpowiadaj mi tym samym słowem, którego

użyję w pytaniu, tylko innym; za moim przykładem. Mówię teraz wbrew tej odpowiedzi, którą poprzednio proponowałem, wbrew tej bezpiecznej; z tego, cośmy teraz mówili, widzę możliwość innej, równie bezpiecznej. Bo gdybyś mnie zapytał, co musi wejść w jakieś ciało,

żeby ono było ciepłe, nie dam ci tamtej bezpiecznej odpowiedzi, tamtej nieuczonej, że musi w nie wejść ciepłota, ale dam sprytniejszą wedle obecnych rozważań i powiem, że ogień. A gdybyś mnie zapytał, co musi wejść w ciało, żeby ono było chore, nie odpowiem, że choroba, tylko że gorączka. I w liczbie co musi tkwić, żeby była nieparzysta, nie powiem, że nieparzystość, tylko powiem, że jednostka. I w innych wypadkach tak samo. Więc popatrz, czy już dość dobrze wiesz, czego chcę.

- Ależ bardzo dobrze - powiada.

- A więc odpowiadaj - mówi - co musi wejść w ciało, żeby ciało było żywe?

- Dusza musi wejść - powiada.

- Nieprawdaż, że zawsze tak jest?

- Jakżeby nie - mówi tamten.

- Więc w cokolwiek dusza wstąpi, zawsze w nie ze sobą życie wnosi?

- A wnosi, naprawdę - mówi.

- A czy jest jakieś przeciwieństwo życia, czy nie ma żadnego?

- Jest - powiada.

- Jakie?

- Śmierć.

- Nieprawdaż więc, dusza nigdy i żadną miarą nie przyjmie przeciwieństwa czegoś, co zawsze sama wnosi, jak się zgadzamy wedle tego co przedtem?

- I bardzo mocno się zgadzamy - powiedział Kebes.

- Więc cóż? Coś, co nie przyjmie i nie ulegnie idei czegoś parzystego, jak to się teraz nazywa?

- Nieparzyste - powiada.

- A to, co nie przyjmie sprawiedliwości, i to, co nie ulega artystyczności; jak my to nazywamy?

- To nieartystyczne, a tamto niesprawiedliwe.

- No dobrze. A to, co śmierci nie ulegnie, jak nazywamy?

- Nieśmiertelne - powiada.

- A prawda, że dusza nie ulega śmierci?

- Nie.

- Więc czymś nieśmiertelnym jest dusza?

- Nieśmiertelnym.

- No więc. Zatem to chyba zostało dowiedzione, powiemy? Czy tak myślisz?

- I to całkiem wystarczająco, Sokratesie.

- Więc cóż - powiada - Kebesie? Gdyby "to, co nieparzyste", było bezwzględnie niezniszczalne, czyż nie byłaby i trójka niezniszczalna?

- Zapewne.

- Nieprawdaż, i gdyby "to, co nieciepłe", było bezwzględnie niezniszczalne, to ilekroć by ciepło przyszło do śniegu, musiałyby ustąpić, ale nie zmieniony, cały, nie stopiony? Bo aniby zginąć nie mógł, ani strzymać i przyjąć ciepłoty.

- Prawdę mówisz - powiada.

- I tak samo myślę, że gdyby "to, co nie wystygłe", było niezniszczalne, to ilekroć by do ognia przychodziło coś zimnego, ogień by nigdy nie gasnął i nie ginał, tylko by się cały i nietknięty oddalał i odchodził precz.

- Z konieczności - powiada.

- Nieprawdaż - mówi - tak samo trzeba powiedzieć i o tym, co nieśmiertelne. Jeżeli to, co nieśmiertelne, jest i niezniszczalne, to niepodobna, żeby dusza, kiedy śmierć do niej przyjdzie, ginąć miała. Bo wedle tego, cośmy powiedzieli przedtem, ona śmierci nie ulegnie i nie będzie umarła; tak samo jak mówiliśmy, że trójka nie będzie czymś parzystym, podobnie jak i nieparzystość sama, ani ogień nie będzie chłodny, ani ta gorącość, która jest w nim. Ale co właściwie przeszkadza, mógłby ktoś powiedzieć, żeby to, co nieparzyste, nie zaczęło wprawdzie być parzyste za zbliżeniem się tego, co parzyste, jakieś to zgodnie uznali, ale mogłoby ginąć i na jego miejsce powstawać to, co parzyste? Gdyby ktoś tak mówił, nie moglibyśmy się z nim spierać, że ono nie zginie; bo "to, co nieparzyste", wcale nie jest niezniszczalne. Ale gdybyśmy się na to zgodzili, że tak, to łatwo byśmy przeparli twierdzenie, że za nadejściem tego, co parzyste, oddala się i odchodzi precz to, co nieparzyste i trójka. I tak samo byśmy przeparli to twierdzenie o ogniu i o ciepłe, i o tych tam innych rzeczach. Czy nie?

- Owszem, tak.

- Nieprawdaż, i teraz kiedy chodzi o to, co nieśmiertelne; skorośmy się zgodzili, że ono jest też i niezniszczalne, to dusza będzie nie tylko nieśmiertelna, ale i niezniszczalna. Jeśliby nie, to innego by potrzeba dowodu.

- Ależ nie potrzeba wcale - powiada - przynajmniej dla tego twierdzenia. Jakżeby cokolwiek innego miało nie ulegać zgubie, jeźliby to, co nieśmiertelne i niewidzialne, mogło ulegać zniszczeniu?

- Przecież każdy chyba się zgodzi - mówił Sokrates - że bóg i sama idea życia, i jeśli poza tym coś jeszcze jest nieśmiertelnego, nigdy nie ulega zniszczeniu.

- Wszyscy się na to zgodzą, na Zeusa - powiada - wszyscy ludzie, a myślę, że jeszcze bardziej bogowie.

- A skoro to, co nieśmiertelne, jest i niezniszczalne, to i dusza, skoro jest nieśmiertelna, musi być i niezniszczalną?

- Musi, koniecznie.

- Więc kiedy śmierć na człowieka przyjdzie, wówczas chyba to, co w nim śmiertelne, umiera, a to, co nieśmiertelne, całe i nie zepsute, oddala się i odchodzi precz; uszło śmierci.

- Widocznie.

- Zatem z wszelką pewnością, Kebesie - powiada - dusza jest nieśmiertelna i niezniszczalna i rzeczywiście będą nasze dusze w Hadesie.

- Ja przynajmniej - powiada - Sokratesie, nie mam nic do powiedzenia przeciw temu ani potrafię tym słowom nie wierzyć. Ale jeżeli ten tutaj, Simiasz, albo ktokolwiek inny ma coś do powiedzenia, dobrze

zrobi, jeżeli nie zamilczy. Bo już nie wiem, na jaką mógłby ktoś inną sposobność czekać lepszą niż ta dziś, jeśliby chciał o tych rzeczach cokolwiek powiedzieć lub usłyszeć.

- Ależ nie - powiada Simiasz - ja też i sam nie mam jak: nie wierzyć - po tym przecież, co się powiedziało; tylko to są tak wielkie rzeczy, to, o czym mówimy, a moc ludzka wydaje mi się tak znikoma i marna, że trudno - musi się we mnie taić jeszcze jakaś niewiara w to wszystko, co się powiedziało.

- Nie tylko to, Simiaszu - powiada Sokrates - ty masz zupełną słuszność, ale i te pierwsze założenia, chociaż one u was budzą zaufanie, to jednak potrzeba je rozpatrzeć jaśniej. Jeżeli je roztrząśnienie, jak należy, to pójdziecie, sądzę, za ich myślą najbardziej, jak tylko człowiek iść potrafi. A jeśli tylko ona się jasną stanie, nie będziecie niczego szukali dalej.

- Prawdę mówisz - powiada.

- Więc to - powiada - ludzkie moi, godzi się wziąć pod uwagę, że jeśli dusza jest nieśmiertelna, to dbać należy nie tylko o ten czas, który nazywamy życiem, ale o cały czas, i niebezpieczeństwo teraz zagraża i może się wydawać wielkie, jeżeli ktoś duszy zaniedba. Gdyby śmierć stanowiła zerwanie ze wszystkim w ogóle,

byłoby to jak znalazł dla ludzi złych: pozbyć się ciała, a wraz z duszą zbyć się i swoich złości. Ale teraz, skoro dusza zdaje się być nieśmiertelna, to chyba nie masz dla niej innej ucieczki od zła ani innego zbawienia, chyba to jedno: stać się jak najlepszą i najrozumniejszą. Bo ona do Hadesu pójdzie, nic innego ze sobą nie biorąc oprócz kultury i tego, czym się żywiła; to jej, powiadają, najwięcej pomoże albo zaszkodzi po śmierci zaraz na początku drogi w tamte strony. A powiadają tak, że jak człowiek umrze, wówczas jego duch opiekuńczy, jak mu towarzyszył za życia, tak i teraz go bierze i prowadzi kędyś tam na owo miejsce, gdzie zgromadzonych czeka sąd, a potem droga do Hadesu pod wodzą owego przewodnika, który ma rozkaz dusze stąd tam przeprowadzać. Kiedy je tam spotka to, co je spotkać miało, i odbędzie tam czas przeznaczony, wtedy je tu z powrotem inny odprowadza przewodnik, przez długie i liczne okresy. A droga nie jest taka, jak mówi Telefos u Ajschylosa. On powiada, że jeden tylko prosty szlak do Hadesu prowadzi, a tymczasem droga w tamtą stronę ani mi się prosta nie wydaje, ani jedna tylko. Wtedy by na niej przewodników nie trzeba. Nikt by przecież nie zbłądził w żadnym kierunku, gdyby droga była jedna tylko. Tymczasem ona, zdaje się, ma rozgałęzienia liczne i różne szlaki okólne. Mówię tak wnosząc z tego, co tu na ziemi zbożne i z prawem zgodne. Więc dusza porządna i rozumna idzie za przewodnikiem i rozpoznaje to, co ją otacza. A która się żądzami ciała trzyma i opuścić go nie chce, tak jak w poprzedniej części powiedziałem, długi czas około dała lata i około grobu, ciągnie wciąż w przeciwną stronę i cierpi, i dopiero ją z trudem wielkim i gwałtem przeznaczony jej geniusz zabiera i unosi. A gdy przybędzie tam, dokąd i inne, taka dusza nie oczyszczona, która coś zbroiła albo się krwią niewinną zawałała, albo inne takie popełniła zbrodnie, jakie są tym pokrewne i są pokrewnych dusz robotą - przed taką każdy ucieka i każdy się od niej odwraca, i ani z nią wędrować, ani jej prowadzić nie chce; zaczem ona się błąkać musi i bieduje wciąż, bezradna; aż oznaczone czasy wyjdą, po których ją konieczność do odpowiedniego dla niej mieszkania zanosi. Za to dusza, która w czystości i umiarkowaniu przez życie przeszła, za towarzyszków podróży i przewodników bogów dostaje i zamieszkuje każda miejsce, które jej odpowiada. A są liczne i cudowne okolice na ziemi i ona wcale nie jest taka ani tylko tak wielka, jak myślą ci, którzy ziemię opisywać zwykli. Tak mnie ktoś nauczył. A Simiasz powiada: Jak to mówisz, Sokratesie? Bo o ziemi i ja wiele słyszałem, ale przecież nie to, w co ty wierzysz. Więc chętnie bym posłuchał.

- Ależ owszem, Simiaszu; na to przecież nie potrzeba sztuki Glaukosa, żeby opowiedzieć to, co jest. Ale jak to jest naprawdę, tego dojść trudno - tu i sztuka Glaukosa nie starczy i ja bym może nawet tego nie potrafił, a gdybym w końcu i umiał, to opowiadać by trzeba długo, Simiaszu, i życia by mi na to nie starczyło. Ale ideę ziemi, jak ją sobie przedstawiam, i jakie miejsca są na ziemi, to wam powiedzieć mogę bez żadnej trudności.

- Owszem - powiada Simiasz - wystarczy i to.

- Otóż nauczono mnie - mówi - że naprzód, jeśli się ziemia pośrodku nieba znajduje, okrągła, to wcale jej nie potrzeba ani powietrza, aby nie spadła, ani innej koniecznej tego rodzaju podpory. Do tego, żeby ją utrzymać w środku, wystarczy równomierna wszędzie natura nieba i własna równowaga ziemi. Bo zrównoważona rzecz, położona w jakimś równomiernym środowisku, nie ma powodu przechylać się w którąkolwiek stronę więcej lub mniej i dlatego w jednakim wciąż położeniu stale trwać będzie. Otóż naprzód - powiada - w tom uwierzył.

- I słusznie - rzekł Simiasz.

- A oprócz tego - powiada - to jest niezmiernie wielkie wszystko i my zamieszkujemy, od rzeki Fazis aż po Słupy Heraklesa, tylko małą jakąś częśćką; niby wokoło bajury mrówki albo żaby, tak my naokoło morza mieszkamy; a inne liczne ludy gdzie indziej w wielu takich okolicach mieszkają. Bo wszędzie naokoło ziemi jest wiele różnych kotlin różniących się wyglądem i wielkością, do których spływają wody i mgły, i wiatry. Ziemia zaś sama czysta jest i w czystym niebie leży, w którym są gwiazdy, a eterem je nazywa wielu, którzy zwykli mówić o tych rzeczach. Wszystko, co tu, to są męty i osady z eteru, który ustawicznie spływa do zakłębłości ziemi. My w tych zakłębłościach mieszkamy, więc nie widzimy tego i zdaje się nam, że mieszkamy na wierzchu, na ziemi, zupełnie jakby ktoś na środku dna morskiego siedział, a sądziłby, że na powierzchni morza mieszka i poprzez wodę by słońce i inne gwiazdy oglądał, a myślałby, że morze to już niebo; a dla ociążałości i niemocy swojej nigdy by się na powierzchnię morza nie dostawał i nie spoglądał wypłynawszy i wynurzywszy się z toni na ten świat tutaj, o ile też on jest czystszy i piękniejszy od tamtego świata u nich, aniby od żadnego świadka naocznego o tym nie słyszał. Otóż zupełnie to samo jest i z nami. Mieszkamy w pewnej zakłębłości ziemi, a zdaje się nam, że na jej powierzchni mieszkamy, i powietrze nazywamy niebem, jak gdyby rzeczywiście po tym niebie gwiazdy chodziły. A to jest ta sama sprawa: przez słabość i ociążałość naszą nie jesteśmy w stanie przedrzeć się do krańców powietrza. A dopiero gdyby ktoś jego granic doszedł albo by tam na skrzydłach wzleciał, zobaczyłby, gdyby głowę z niego wynurzył, tak jak tutaj ryby, które z morza głowy wychylają, widzą to, co tu, tak samo ten ktoś zobaczyłby to, co tam, i jeżeliby natura człowieka zdolna była znieść to oglądanie, poznałby, że tam jest niebo prawdziwe i światło prawdziwe, i prawdziwa ziemia. Bo ta ziemia tutaj i kamienie, i całe to miejsce tu zepsute jest i przeżarte jak to, co w głębi morza sól przeżarła. Toż nawet nie rośnie w morzu nic godnego wzmianki ani doskonałego tam nic nie ma, żeby się tak wyrazić, tylko rozpadliny i otchłanie, piasek, muł i błota moc nieprzebrana,

jeżeli gdzieś tam jeszcze jest i ziemia; rzeczy zgoła nic niewarte, jeżeli je z naszymi pięknosciami porównać. A jeszcze bez porównania bardziej różne wydałyby się tamte rzeczy w górze w porównaniu do naszych. A jeśli trzeba i przypowieść ładną powiedzieć, to warto posłuchać, Simiaszu, jak to tam jest na ziemi, pod niebem.

- Ależ owszem, Sokratesie - powiedział Simiasz - my tej przypowieści chętnie posłuchamy.

- Otóż mówią, przyjacielu - powiada - że naprzód tak się ta ziemia przedstawia, gdyby ją ktoś z góry oglądał, jak te piłki z dwunastu skór zeszywane: różnobarwna, a z takich barw ułożona, jakich i tutejsze farby są niby próbkami; te, których malarze używają. Tam się cała ziemia z takich farb składa, tylko z jeszcze świetniejszych i czystszych niż te. Więc jedna to purpura przedziwnej piękności, druga to odcień złotawy, a inna to niby biel od gipsu i od śniegu bielsza. I z innych farb jeszcze składa się tak samo i z jeszcze liczniejszych i piękniejszych niż te, które my oglądamy. Bo nawet same te kotliny ziemskie, jako że napełnione wodą i powietrzem, wyglądają jakoś tak jak farba i świecą różnokolorowym blaskiem innych barw, tak że się cały widok wszystkimi kolorami mieni. A na takiej ziemi odpowiednie też rośliny rosną: drzewa i kwiaty, i owoce. I tak samo góry i kamienie mają odpowiednią do tego gładkość i przezroczystość, i barwy piękniejsze. Z nich są i te tutejsze kamyczki, to są ich części u nas ulubione: te krwawniki i jaspisy, i szmaragdy, i wszelkie inne tego rodzaju kamienie. A tam nie, tylko wszystko jest takie i jeszcze od nich piękniejsze. A przyczyna tego jest ta, że tamte kamienie są czyste i nie przeżarte, i nie popsute jak te nasze tutaj, przez zgniliznę i słony morski brud z mętów, które tutaj spływają i nawet kamieniom i ziemi, a oprócz tego zwierzętom i roślinom szpetność i choroby przynoszą. Ziemia tam jest tym wszystkim ozdobiona, a prócz tego złotem i srebrem, i innymi takimi skarbami. One tam na wierzchu rosną i mnóstwo ich jest na każdym kroku, tak że oglądać tę ziemię to widowisko dla szczęśliwych widzów.

I zwierząt tam wiele jest różnorodnych i ludzi. Jedni w głębi łądu mieszkają, a drudzy na brzegach powietrza, tak jak my naokoło morza, inni na wyspach, które powietrze opływa wzdłuż łądu - jednym słowem: czym dla nas woda jest i morze w stosunku do naszych potrzeb, tym dla nich jest powietrze, a czym dla nas powietrze, tym dla nich eter. A klimat jest u nich tak utemperowany, że nie chorują wcale i żyją o wiele dłuższy czas niż my tu; wzrokiem zaś, słuchem i rozumem różnią się od nas o tyle, o ile powietrze różni się od wody, a eter od powietrza ze względu na czystość.

I mają tam świątynie i gaje bogom poświęcone, w których rzeczywiście bogowie mieszkają, i oni głosy bogów słyszą, i wieszczce znaki odbierają, i objawienia bogów mają, i obcują z bogami twarzą w twarz. I słońce, i księżyc, i gwiazdy oglądają takimi, jakie one są naprawdę, a za tym idą inne szczęśliwości.

Otóż cała ziemia tak wygląda i to, co naokoło niej. A krain jest na niej mnóstwo, wedle tych jej zagłębień naokoło całej powierzchni; jedne głębsze i szersze niż ta zakłębłość, którą my zamieszkujemy, drugie głębsze, a mają wejście mniejsze niż miejsce naszego pobytu, a są i płytsze od naszego a szersze. Wszystkie te zapadliny otworami łączą się ze sobą pod ziemią w wielu różnych miejscach; są tam przejścia ciaśniejsze i szersze i są tam kanały, przez które wiele wody przepływa z jednych do drugich, niby do wielkich pucharów, i olbrzymich rozmiarów rzeki podziemne wiecznie

płynące, i wody ciepłe i zimne, i mnóstwo ognia, i wielkie rzeki ogniste, i rzeki wilgotnego mułu: czystszy i brudniejszy błota, jak na przykład na Sycylii te przed strumieniem lawy płynące rzeki namułu i lawa sama. Tymi materiałami napełnia się zapadlina każda zależnie od tego, co kiedy do niej okrężny prąd przyniesie. I wszystko to się porusza w górę i w dół, jakby maszyna jakaś była w środku ziemi. A ta maszynaria takiej jest mniej więcej natury. Jedna z rozpadlin ziemi, właśnie największa, przewierca ziemię na wskroś od końca do końca. To jest ta, o której Homer powiedział: Bardzo daleko; gdzie głębie swe otchłani otwiera bezdena.

I on, i wielu innych poetów nazwało ją Tartarem. Do tej to otchłani spływają wszystkie rzeki i wypływają z niej na powrót. A każda z nich staje się taka lub inna zależnie od tego, przez jaką krainę przepływa. A przyczyna tego, że wypływają stamtąd i wpadają tam wszystkie strumienie, jest ta, że te płynne masy nie mają dna i podstawy. Więc wiszą w przestrzeni i falują w górę i w dół, a powietrze i wichry, które je otaczają, robią to samo. Bo idzie za nimi wiatr i wtedy, gdy na tamtą stronę ziemi ruszają, i gdy wracają na tę tutaj; jakby człowiek oddychał, tak wciąż wichry dmie z wnętrza ziemi i znów w jej głąb wpada strumień powietrza, i tam też powietrze wraz z wilgocią w przestrzeni zawieszona straszne jakieś i nieopisane burze wywołuje, wchodząc i wychodząc.

Więc skoro wody ruszą stąd, żeby się przelać w krainy, o których się mówi, że są na dole, wtedy tamtym strumieniom po drugiej stronie przybywa wody poprzez rozpadliny ziemi i napełniają się tak, jakby kto naczyniem stąd czerpał, a tam przelewał. A kiedy znowu stamtąd woda ustąpi, a ku nam ruszy, zaraz się tu u nas gromadzić zaczyna po jaskiniach, a wypełniwszy je wypływa kanałami i poprzez ziemię i dostając się w każdym wypadku do miejsc, do których sobie drogę toruje, tworzy morza, jeziora, rzeki i źródła. Z nich zaś z powrotem pod ziemię przenika i bądź to długimi strumieniami dalekie strony opływa, bądź też krótszymi drogami z powrotem do Tartaru wpada, raz znacznie głębiej od miejsca, w którym wytrysnęła, raz nie o wiele niżej. Ale zawsze ujście jest niższe źródła. I niejeden strumień wypada wprost naprzeciw tego miejsca, w którym wpadł do wnętrza, a inny w tej samej okolicy. A są i takie, które całkowicie naokoło ziemi biegną, okręcając się wokoło ziemi jak węże raz albo kilka razy, płyną jak tylko można najniżej i znowu wpadają do wnętrza.

A z jednej i z drugiej strony dopłynąć mogą tylko do środka, a dalej nie. Zbyt stroma robi się dalsza część drogi dla jednych i drugich strumieni, z obu stron. Otóż jest tam bardzo wiele ogromnych i rozmaitych potoków. A pośród tych wielu strumieni są pewne cztery rzeki, z których największa i najbardziej na zewnątrz oblewająca ziemię jest to tak zwany Ocean. Naprzeciw niego zaś i w przeciwnym kierunku rzeka smutków, Acheron, przez różne pustkowie płynie pod ziemią i wpada do jeziora Acheruzja, tam gdzie dusze mnóstwa umarłych przybywają i odbywszy tam czasy wyznaczone, dłuższe lub krótsze, znowu bywają wysyłane w ciała powstających istot żywych. Trzecia rzeka pomiędzy tamtymi dwiema wypływa i blisko źródła wpada w kraj ogromny, który ogniem wielkim płonie i tworzy jezioro większe niż nasze Morze Śródziemne, pełne wody kipiącej i błota. Stamtąd wypływa i wokoło ziemi toczy swoje nurty mętne i błotniste w różnych stronach i dochodzi krańców jeziora Acheruzja, ale nie miesza się z jego wodą. Okręciwszy się wiele razy pod ziemią wpada w niższe okolice Tartaru. To jest rzeka płomieni, którą nazywają Pyriilegeton. Nurty jej tu i ówdzie i na powierzchni ziemi strumieniami lawy buchają. Naprzeciw niej zaś czwarta rzeka wpada naprzód w kraj straszny i dziki, jak mówią - kraj cały ciemnoniebieski jak hartowana stal; nazywają tę rzekę Styksem, podobnie jak i jezioro, do którego wpada. Wody Styksu strasznych sił nabierają i obwinąwszy ziemię dwakroć naokoło płyną w kierunku przeciwnym niż Pyriilegeton i wpadają do jeziora Acheruzja z przeciwnej strony. Woda Styksu również nie miesza się z żadną inną, tylko tak naokoło obiegłszy, wpada do Tartaru naprzeciw ujścia Pyriilegetonu. A imię tej rzeki skarg i łez, jak mówią poeci: Kokytos. Otóż kiedy tam tak jest, to skoro przybędą umarli na miejsce, do którego duch opiekuńczy każdego odprowadza, naprzód sąd się nad nimi odbywa: którzy też życie pięknie i zbożnie spędzili, a którzy nie. I których życie wyda się ani zanadto złe, ani nazbyt dobre, ci idą nad Acheron, wsiadają do łodzi, które tu dla nich są, i przyplływają w nich do jeziora. Tu mieszkają i oczyszczają się, a odbywszy pokutę za popełnione winy wychodzą stamtąd, jeżeli który popełnił coś złego; i za dobre uczynki nagrody tam odbierają - każdy tak, jak zasłużył. A których stan wyda się nieuleczalny dla mnogości grzechów, bo się często wielkiego świętokradztwa dopuszczali albo często zabijali niesprawiedliwie i wbrew prawom, albo inne takie zbrodnie popełniali, tych los im należy miota do Tartaru, skąd nie wychodzą nigdy. A których grzechy wydają się wielkie, ale uleczalne, jak na przykład gwałt jakiś dokonany w gniewie na ojcu lub matce, którego potem żalowali i odmienili życie, albo się zabójcami stali w inny jakiś, choć podobny sposób, ci muszą wprawdzie spaść do Tartaru i zostawać tam przez rok, ale ich po roku fala wyrzuca i mężobójców do Kokytosu niesie, a ojcobójców i matkobójców do Pyriilegetonu. A kiedy płynąc z nurtem znajdują się w jeziorze Acheruzja, wtedy krzyczą głośno i wołają: jedni tych, których byli zabili, drudzy tych, którym wyrządzili krzywdę; wołają ich, zaklinają i proszą, żeby im pozwolili wyjść na brzeg jeziora i chcieli przyjąć do siebie; jeżeli zostaną wysłuchani, wychodzą na brzeg i przestają cierpieć, a jeśli nie, fala ich znowu do Tartaru niesie, a stamtąd na powrót do rzek wrzuca i to cierpienie nie kończy się prędzej, aż im się uda nakłonić i pozyskać tych, których pokrzywdzili. Taką im karę nałożyli sędziowie.

A których życie wyda się osobliwie zbożne, ci będą wyzwoleni z tych czeluści podziemnych i wyjdą stamtąd, jak z więzienia, w górę i pójdą mieszkać w czystych stronach, na szczytach ziemi. Do nich należą ci, którzy się umiłowaniem mądrości dostatecznie od zmazy grzechu oczyścili; ci będą później żyli w ogóle bez ciała i pójdą do mieszkań jeszcze piękniejszych niż te, które i opisać niełatwo i w tej chwili czas nie po temu. Więc już choćby dla tego, cośmy tu opowiedzieli, Simiaszu, trzeba robić wszystko, co można, żeby zdobyć w życiu dzielność i rozum. Bo nagroda piękna, a nadzieja wielka. Spierać się o to, że właśnie tak, a nie inaczej jest, jak ja to opowiedziałem - nie wypada człowiekowi, który ma rozum w głowie. Ale że bądź to tak jest, bądź też jakoś tak podobnie ma się rzecz z naszymi duszami i z miejscem ich pobytu, skoro dusza okazuje się czymś nieśmiertelnym, to zdaje mi się, wypada i warto ryzykować przypuszczenie, że tak jest. Ryzyko bardzo piękne i trzeba sobie samemu takie słowa wiecznie niby do snu śpiewać. Toteż i ja długo i już za długo tę przypowieść wlokę. Ale z tych względów powinien być spokojny o swoją duszę człowiek, który przez całe życie o inne przyjemności nie dbał, o te cielesne, i nie oglądał się za ozdobami życia, jako że były mu obce, i sądził, że one raczej zaszkodzić niżli pomóc potrafią, a szukał tych, które nauka daje, i duszę swą ozdobił nie obcym jej blichтром, ale pięknym jej właściwym: panowaniem nad sobą i sprawiedliwością, i męstwem, i szlachetnością, i prawdą, i tak na podróż do Hadesu czeka i ruszy w drogę, kiedy go los zawoła. Więc wy - powiada - Simiaszu i Kebesie, i wy reszta innym razem pójdziecie, kiedy tam któremu czas wypadnie; a mnie już teraz, powiedziałby jakiś tragik, los wola i bodajże mi właśnie pora myśleć o kąpieli. Wydaje się przecież rzeczą lepszą naprzód się wykapać, a potem wypić truciznę i nie robić zachodu kobietom, żeby trupa myły. Gdy on to powiedział, wtedy Kriton mówi: No niech tam, Sokratesie; ale może masz jakieś zlecenie dla nich tutaj albo dla mnie; może coś w sprawach twoich chłopców albo w innej jakiej; może moglibyśmy zrobić ci jakąś przyjemność?

- To, co zawsze mówię - powiada - Kritonie, nic nowego. Że jak będziecie dbali o siebie samych, to i mnie, i moim bliskim, i sobie samym zawsze zrobicie przyjemność, cokolwiek byście robili.

Chociażbyście teraz nie obiecywali. A jeżeli nie będziecie dbali o siebie samych i nie zechcecie żyć w ślad tego, co się tu dziś mówiło i dawniej nieraz - to nie zrobicie i tak nic dla mnie, choćbyście teraz nie wiadomo co przyrzekali i jak najgoręcej.

- Więc my się będziemy starali - powiada - tak postępować. A pogrzebać cię mamy w jaki sposób?

- Jak się wam tylko podoba - mówi - jeżeli mnie tylko dotaniecie i ja wam nie ucieknę. Równocześnie uśmiechnął się łagodnie, a spojrzawszy na nas: Nie mogę - powiada - przekonać Kritona, że to ja jestem Sokrates, ten, co teraz z wami rozmawia i na swoim miejscu kładzie każde zdanie, ale mu się zdaje, że ja jestem ten, którego za chwilę zobaczy: trup, i pyta się mnie, jak mnie ma pochować. A kiedy ja tu długo i szeroko dowodzę, że skoro wypiję truciznę, to wcale nie zostanie z wami, tylko sobie pójdę precz, w jakieś krainy szczęśliwych, on to widać bierze inaczej: myśli, że mówię to, aby pocieszyć i was, i siebie samego. Więc zaręczcie Kritonowi za mnie; wprost przeciwnie, jak on za mnie przed sędziami ręczył. Bo on, że ja stanowczo tu zostanę, a wy zaręczcie, że stanowczo tu nie zostanę, jak umrę, tylko sobie pójdę stąd, aby Kritonowi lżej było i żeby nie rozpaczął, że straszne męki cierpię, kiedy zobaczy, jak moje ciało palą albo zakopują, i żeby podczas pogrzebu nie mówił, że to Sokratesa na katafalku kładzie albo wnosić każe, albo zakopywać. Wierz mi, Kritonie kochany, że nieładny zwrot to nie tylko błąd sam przez się, ale jeszcze jakimś złem dusze ludzkie zatruwa. Więc trzeba być dobrej myśli i mówić, że się moje ciało grzebie, a grzebać je tak, jak by ci to najwięcej odpowiadało i jak byś tylko uważał, że się godzi. Po tych słowach wstał i poszedł do izby jakiejś, aby się ukapać. Kriton poszedł za nim, a nam kazał poczekać. Czekaliśmy więc, sami ze sobą rozmawiając o tym, co było powiedziane, i roztrząsając to na nowo; to znowu się o tym nieszczęściu mówiło, które nas spotkać miało; czuliśmy się po prostu tak, jakby nam ojca braknąć miało i jakbyśmy mieli sierotami zostać całe życie.

Więc kiedy się wykapał i przyniesiono do niego dzieci - bo miał dwóch synów maleńkich, a jednego dużego - i jego kobiety z domu przyszły, rozmawiał z nimi w obecności Kritona i polecenia pewne im wydawał, a potem kobietom i dzieciom odejść kazał i sam przyszedł do nas. A było już niedaleko do zachodu słońca. Bo długi czas tam zabawił z nimi. Przyszedł i usiadł świeżo wykąpany i niewiele coś potem rozmawiał, a wszedł pacholek Kolegium Jedenastu i stanąwszy koło niego powiada: Sokratesie, z twojej strony z pewnością mnie to nie spotka, co zawsze mam z innymi, że się gniewają na mnie i przeklinają, kiedy im polecam wypić truciznę, skoro władze każą. Ja cię zresztą poznałem przez ten czas; wiem, żeś człowiek najszlachetniejszy i najłagodniejszy, i najlepszy ze wszystkich, jacy tu kiedykolwiek przyszli. Więc i teraz, wiem z pewnością, że się na mnie nie gniewasz, tylko na tamtych - bo ty wiesz, kto to winien - więc teraz - wiesz przecież, co ci przyszedłem powiedzieć - daj ci boże i staraj się, jak możesz, najłatwiej znieść to, co być musi. - I w tej chwili mu się łzy puściły, obrócił się i odszedł.

A Sokrates spojrzął na niego i: Daj boże wam - powiada - ja to już zrobię. A równocześnie do nas: Jaki

to grzeczny człowiek - powiada - on tu cały czas do mnie przychodził i rozmawiał nieraz, i był najpocześniejszy w świecie. I teraz - jak on mnie szlachetnymi łzami żegna!

No więc, Kritonie, posłuchajmy go i niech kto przyniesie truciznę, jeżeli zmielona. A jeżeli nie, niech ten człowiek zmieli.

A Kriton: Ależ, Sokratesie - powiada - słońce, zdaje mi się, nad górami i nie zaszło jeszcze. A ja też wiem, że inni bardzo późno piją, kiedy rozkaz przyjdzie; i to naprzód jedzą dobrze i piją, a niejeden jeszcze obcuje z kim ma ochotę. Nie śpiesz się tak; jeszcze czas przecież. A Sokrates: Oczywiście - powiada - mój Kritonie, robią tak ci, o których mówisz; im się zdaje, że coś na tym zyskują; ja, oczywiście, tego nie zrobię. Bo nie uważam, żebym coś zyskał, jeżeli trochę później wypiję; nic, tylko śmiech przed sobą samym, gdybym się zębami trzymał życia i szczędził resztek, kiedy już i tak wszystko wyszło. No więc - powiada - posłuchaj i zrób tak, jak mówię.

Usłyszawszy to Kriton skinął na chłopaka, który stał niedaleko. I chłopak wyszedł, a zabawiwszy czas jakiś wrócił, prowadząc tego, który miał truciznę podać, a już ją niósł zamieszaną w kielichu. Sokrates, zobaczywszy tego człowieka: No tak - powiada - mój drogi; ty się na tym rozumiesz; co potrzeba robić?

- Nic więcej - powiada - tylko wypić i chodzić potem trochę, aż ci członki ciężyc zacząną; potem się położyć, i tak ono samo już będzie działać.

I równocześnie podał kielich Sokratesowi.

A ten wziął go bardzo uprzejmie, mój Echekratesie; nie zadrgała mu ręka, nie zbrzydła mu cera ni twarz, ale jak on zwykle spod brwi ogromne oczy wrył w owego człowieka i: Co myślisz, powiada, o tym napoju. Gdyby tak odlać kroplę na ofiarę komu? Wolno to, czy nie?

- My w sam raz tyle - powiada - mielemy, Sokratesie, ile uważamy, że trzeba wypić - ani mniej, ani więcej.

- Rozumiem - powiada. - Ale modlić się do bogów chyba wolno i trzeba nawet, aby przeprowadzka stąd na tamten świat szczęśliwie wypadła. I ja też o to się modlę i oby się tak stało. To powiedziawszy, zaraz duszkiem i bez trudności najmniejszej i bez skrzywienia wypił. Z nas wielu aż do tej chwili umiało jako tako opanować łyż, ale kiedyśmy zobaczyli, jak pije i że już wypił, to już nie sposób, tylko mi się samemu długo tłumione łyż ciurkiem puściły, tak że sobie twarz zasłonił i sam nad sobą płakał. Bo nie nad nim przecież, ale na swój własny los, że takiego człowieka tracił, przyjaciela.

A Kriton jeszcze prędzej niż ja, kiedy już nie mógł opanować łyż, wstał. Apollodoros już i przedtem cały czas płakał, a wtedy ryknął spazmem tak okropnym i taką skargą wybuchnął, że dreszcz poszedł po wszystkich obecnych, oprócz samego Sokratesa. On tylko: Co wy robicie - powiada.

- Jacyście wy dziwni! Ja przecież właśnie dlatego kobiety do domu wyprawilem, żeby takich rzeczy nie wyrabiały; słyszałem nawet, że umierać trzeba w pobożnej ciszy. Więc uspokójcie się i miejcie moc nad sobą. My, usłyszawszy to, zawstydziliśmy się i zaczęli powstrzymywać łyż. On chodził po sali, a potem powiedział, że mu już członki ciężą, i położył się na wznak. Bo tak przykazał dozorca. Zaraz się go dotknął ten, co mu był podał truciznę, i co jakiś czas patrzył mu na stopy i golenie, a potem mocno go uszczypnął w stopę i zapytał, czyby co czuł. A on powiada, że nie. Potem znowu golenie. A idąc tak coraz wyżej, pokazywał nam, jak stygnie i sztywnieje. I znowu go dotknął i powiedział, że jak mu to dojdzie do serca, wtedy skończy. Już mu było pół ciała zastygło, kiedy odłonił głowę, bo ją był zakrył, i powiada - a były to jego ostatnie słowa: Kritonie, myśmy winni koguta Asklepiosowi. Oddajcież go, a nie zapomnijcie!

□ Stanie się tak □ powiedział Kriton. □ Ale może coś innego masz jeszcze powiedzieć? Na to pytanie nic już nie odpowiedział, tylko po krótkiej chwili drgnął i dozorca odkrył mu twarz. Oczy już były poszły w słupek. Zobaczywszy to Kriton zamknął mu usta i oczy.

Tak nam, Echekratesie, skonał przyjaciel; człowiek, o którym możemy powiedzieć, że ze wszystkich, którychśmy wtedy znali, najlepszy był i w ogóle najmądrzejszy i najsprawiedliwszy.